

WYDARZENIA str. 2
Pociągi i drezyny wspólnie
na torach?

WYDARZENIA str. 3
Woda znowu
oddała kości

**CZYTELNIJA
GŁÓWNA**

WSPOMNIENIE str. 7
Miała żyć długo
i szczęśliwie

HISTORIA str. 8
Nad Sanem i Strwiążem
w Kraju Rad



3.00 zł (w tym 5% VAT) / NR 20 (756)

ISSN 1231-9333



Rok XXIII/29.09.2022 r.
ISSN 1231-9333 INDEKS 323659
Nakład 1000 egz.

GAZETA BIESZCZADZKA

C Z A S O P I S M O R E G I O N A L N E
www.bieszczadzka24.pl

Czy lokalizacja bazy pogotowia ratunkowego w centrum Ustrzyk Dolnych jest odpowiednia, czy może jednak powinna być gdzie indziej? O to spierają się mieszkańcy i samorządowcy.

„ (...) otrzymuję od Państwa pytania dotyczące wzmożonego ruchu karettek pogotowia na tzw. „sygnałach” w centrum oraz w okolicach Przedszkola i Żłobka Miejskiego. Informuję, że na terenie Starostwa Powiatowego przy ul. Pionierskiej zlokalizowana została baza Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego, która dotychczas znajdowała się w okolicach (...) szpitala. Jako burmistrz nie miałem żadnego wpływu na tę decyzję; co więcej, kilka miesięcy temu pisemnie wyraziłem swój sprzeciw co do tej lokalizacji, również do Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego (...). W ostatnich dniach otrzymaliśmy prośbę od Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego aby „w ramach współpracy” oznakować wyjazd karettek z nowej lokalizacji. Zastanawiam się, o jakiej współpracy jest mowa, ponieważ zdanie dotyczące lokalizacji (...) nie zostało uwzględnione. W przypadku zastrzeżeń co do nowej siedziby (...) Pogotowia proszę zgłaszać się do Starosty Bieszczadzkiego” – pisze na swoim profilu facebookowym burmistrz Bartosz Romowicz.

PRZENOSINY TO KONIECZNOŚĆ

Pismo do starosty burmistrz wysłał 23 czerwca tego roku, jeszcze przed przeniesieniem pogotowia. Czytamy w nim między innymi: „W pobliżu planowanej nowej siedziby znajduje się Przedszkole nr 1 i Żłobek Miejski, a na odcinku drogi 80 m jest dwa wyjazdy i droga gminna. Dodatkowo przy wyjeździe z posesji ze względu na utrudnienia już znajduje się lustro”

Dalej Bartosz Romowicz pisze, że układ komunikacyjny Ustrzyk Dolnych jest taki, że aby wyjechać karetką z ulicy Pionierskiej w kierunku Krościenka lub Ustrzyk Górnych, trzeba przejechać przez wąskie, jednokierunkowe i często zatłoczone ulice. Na tej podstawie stwierdza, że nowa lokalizacja pogotowia znacząco zmniejsza bezpieczeństwo użytkowników ruchu drogowego w tym rejonie miasta. „W imieniu mieszkańców miasta proszę o rozważenie zmiany lokalizacji siedziby Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego (...)”.

Starosta Marek Andruch mówi, że nie odpisywał burmistrzowi, bo inna lokalizacja pogotowia nie wchodziła w grę. – Pogotowie nie mogło dłużej funkcjonować na terenie szpitala, gdzie prowadzone są inwestycje, panuje ciasnota – tłumaczy. – Byliśmy jako starostwo zmuszeni znaleźć miejsce na nową siedzibę, żeby nie narażać się na kary, i tak się stało. Alternatywą było wyprowadzenie pogotowia z Ustrzyk, a tego chyba nikt nie chce.

Zdaniem starosty siedziba przy ul. Pionierskiej 10 nie jest najgorsza, choć zgadza się, że dla części osób może być uciążliwa.

KOMU PRZESZKADZA, A KOMU NIE

Jak zwykle w takich sprawach ludzie są podzieleni. Jednym słyszalne w tej części miasta sygnały dźwię-

Burmistrz nie zgadza się ze starostą,
mieszkańcy też są podzieleni

Gdzie w Ustrzykach powinno być pogotowie ratunkowe

kowe emitowane z karettek nie przeszkadzają, inni skarżą się na hałas. Tak samo jak jednym nie przeszkadza bicie kościelnych dzwonów, a inni twierdzą, że powinny być ciszej lub rzadziej. – Może bliskość pogotowia od przedszkola i żłobka nie jest najszybszym rozwiązaniem, jednak jeśli nie było innego miejsca, trzeba się z tym pogodzić – mówi mieszkanka bloku 13 przy ul. Pionierskiej. – Być może warto, by rano i po południu bezpieczeństwa dzieci strzegli policjanci. Albo taki pracownik cywilny, jak przy podstawówce numer jeden.

– My, Polacy, mamy to do siebie, że ciągle nam coś nie pasuje – twierdzi emeryt z bloku przy Pionierskiej 2. – Jestem pewien, że gdyby pogotowie było w innym miejscu, też znalazłoby się wielu do narzekania. Czasami trzeba się po prostu dostosować.

– No..., trochę to irytujące, gdy karetka wyją w pobliżu mieszkań, ale z drugiej strony przecież nie mieszkamy na odludziu – uważa kobieta z ulicy Nowej. – Dzisiaj możemy się oburzać, ale gdy ktoś z nas będzie potrzebował pomocy, to zechce, by karetka przybyła jak najszybciej. W tej sytuacji położenie pogotowia przy blokach na Pionierskiej i Nowej oraz bliskość do ulic Nadgórnej, Gombrowicza, Pola czy Łukasiewicza wydaje się w porządku.

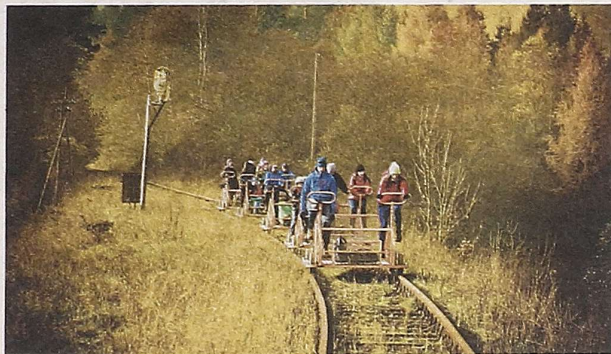
– Dla mnie to niezrozumiała lokalizacja, właśnie z uwagi na bliskość przedszkola i żłobka. Warto też zauważyć, że aby karetka wyjechała na główną ulicę miasta, musi najpierw pokonać kilka skrzyżowań – mówi uczeń liceum.

DYREKTOR: BEZPIECZEŃSTWO WZROSŁO

Głos w mediach społecznościowych zabrała Beata Pieszczoń, dyrektor Bieszczadzkiego Pogotowia Ratunkowego SP ZOZ w Sanoku (Ustrzyki są placówką podległą). Pisze tak: „Uprzejmie informuję Państwa i Pana Burmistrza Bartosza Romowicza, że statystyka wyjazdów karettek w Ustrzykach wynosi 1-2 wyjazdy na dobę – to właśnie ten „wzmożony ruch”, wg Pana. Pominając ten fakt, w każdym miejscu lokalizacja będzie komuś przeszkadzała, więc może Bieszczadzkie Pogotowie to nie jest dobry cel ataku zważywszy na to, że w ciągu 4 lat działalności zostały wymienione wszystkie ambulanse na nowe i cały sprzęt medyczny. Ostatni nowy ambulans zostanie oddany w październiku. Powyższe fakty świadczą o wzroście bezpieczeństwa zdrowotnego mieszkańców nie tylko miasta Ustrzyki Dolne, ale też powiatu bieszczadzkiego”.

KP, MPR

Do porozumienia trzeba dobrej woli, wtedy wszystko da się poukładać Pociągi i dreżyny wspólnie na torach?



Wycieczki dreżynami rowerowymi to od lat jedna z największych atrakcji turystycznych. FOT. ARCHIWUM BDR

Czy dreżyny rowerowe znikną z krajobrazu Bieszczadów? Takie pytanie zadają sobie dzisiaj turyści, samorządowcy i właściciele firmy. A może jednak da się pogodzić i dreżyny, i przejazdy pociągów pasażerskich na trasie Ustrzki Dolne – Sanok?

Według doniesień medialnych w przyszłym sezonie letnim dreżyny mogą być już tylko wspomnieniem. Po torach miałyby kursować jedynie uruchomiony w tym roku pociąg pasażerski z Ustrzki do Sanoka. Przejżdża przez torę w Uhercach Mineralnych, gdzie zlokalizowana jest główna stacja Bieszczadzkiej Dreżyn Rowerowych. Od kilku lat to stamtąd wyruszają na trasy chętni, którzy pragną zwiedzić fragment Bieszczadów również w tej formie. Dreżyny to jeden z wiodących produktów lokalnych, rozpoznawany w całej Polsce, z którego corocznie korzysta około 60 tysięcy przyjezdnych.

UZBROJONY W CIERPLIWOŚĆ

Już w sierpniu tego roku czasowo wstrzymano ruch dreżyn w Uhercach; jeździły jedynie na linii Ustrzki Dolne – Krościenko. Teraz – według informacji przekazanych przez Janusza Demkowicza, właściciela BDR – wiele wskazuje na to, że w przyszłym roku turyści mogą nie skorzystać z jego oferty. Podczas rozmowy z przedstawicielem Polskiej Linii Kolejowych dowiedział się, że może korzystać z torowiska do końca września, ale później, to znaczy wiosną przyszłego roku, na linię 108 już nie wróci. – Nie otrzymałem jeszcze w tej sprawie oficjalnego pisma, dlatego cierpliwie czekam – mówi Demkowicz. – Mam nadzieję, że jednak nie dojdzie do unieruchomienia dreżyn i będą mogły służyć rzeszom ludzi odwiedzających Bieszczady. PLK, z którą współpracuje mi się bardzo dobrze, chciała połączyć te dwie działalności,

ale pojawił się przewoźnik, który zamierza zająć całe torowisko.

Na linii 108 obecni są dwaj przewoźnicy kolejowi. Jeden to Polregio, który jeździ w ramach przewozów zamówionych przez Urząd Marszałkowski w Rzeszowie. Kursuje w weekendy i nie jest dla dreżyn przeszkodą. Inaczej rzecz się ma w przypadku drugiego przewoźnika, czyli SKPL, który weekendowo jeździ na trasie Sanok – Ustrzki Dolne, ale w godzinach kolidujących z dreżynami. Właśnie dlatego te ostatnie musiały zostać przeniesione do Ustrzki Dolnych i wozici turystów do Krościenka.

KTO CHCE WYCIĄĆ PRODUKT TURYSTYCZNY

Groźba likwidacji dreżyn rowerowych bulwersuje tych, którzy dzięki tej inicjatywie mogli rozwinąć swoje skrzydła – to właściciele sklepów, barów, gestorzy różnych gałęzi turystycznych. Wspierają Demkowicza w działaniach, które zablokowałyby pomysł tych, którzy – jak się mówi powszechnie – „dreżyny nie lubią”. Kim są? – To grupka polityków i urzędników spoza Bieszczadów, z nieco wyższego szczebla, którzy albo nie lubią Janusza Demkowicza, albo nie zależy im na tym, by Bieszczady były kojarzone z dreżynami rowerowymi – spekulują lokalni przedsiębiorcy.

Robert Petka, zastępca wójta gminy Olszanica, jest bardziej dosadny. – Jeżeli chce się wyciąć produkt turystyczny, z którego korzysta 60 – 65 tysięcy turystów rocznie, a zamiast tego puszcza się na tory jakieś puszki po sardynkach, z których prawie nikt nie korzysta, to coś jest nie w porządku.

Ma na myśli obecnie kursujące w weekendy składy pasażerskie na linii Sanok – Ustrzki Dolne. – Przecież tymi pociągami prawie nikt nie jeździ, poza tym nie przystają do standardów XXI wieku. W remont torowisk wkładane są kolejne pieniądze, ale żeby



Są plany, by pociąg z Ustrzki Dolnych do Sanoka kursował codziennie, a nie tylko w weekendy. FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA

doprowadzić je do stanu, w jakim powinny być, potrzeba miliarda złotych. Kto i skąd weźmie takie pieniądze? Jeśli naprawdę chcemy rozwijać Bieszczady, równać do najlepszych, to trzeba postawić na szybką, nowoczesną komunikację z Rzeszowem na południe, także włączając w to transport z lotniska w Jasionce. Nie można myśleć kategoriami z minionej epoki.

TRZEBA WYKORZYSTAĆ SZANSE

Murem za utrzymaniem dreżyn stanęli operatorzy turystyczni. – W każdej z naszych wycieczek organizowanych na zamówienie grup proponujemy niepowtarzalne atrakcje. Zależy nam na tym, by klienta przyjeżdżającego w Bieszczady zachwycić, a atrakcją wywołującą takie wrażenia są dreżyny rowerowe – szczególnie ze względu na widoki i XIX wieczny tunel na odcinku między Uhercami a Łukawicą – pisze Mariusz Janik, właściciel Biura Podróży „Bieszczader”.

On i inni argumentują, że mają już podpisane z grupami wycieczkowymi umowy na październik. – Zmiana lokalizacji dreżyn spowoduje wzrost kilometrów i kosztów. Zaburzy też program wycieczek, a to z kolei może zniechęcić turystów do zamawiania usług.

Marek Andruch, starosta bieszczadzki, jest zdania, że na trasie linii 108 mogą jeździć zarówno pociągi pasażerskie, jak i dreżyny rowerowe. Podkreśla, że nawet powinny, ale nie zgadza się z tymi, którzy twierdzą – jak na przykład Robert Petka – że kursowanie pociągów nie ma sensu. – Otóż jest sens i to duży. Jeśli teraz nie wykorzystamy szansy na remont torowiska, jeśli nie zaczniemy ciężko pracować, by pociągi wróciły na stałe na tory, to później już nigdy nie uzyskamy takiej szansy. I w ten sposób zabytkowa linia kolejowa przestanie istnieć. Czy o to chodzi? W tym roku na wymianę podkładów

kolejowych, naprawę skarp i nasypów oraz szyn wydano już dziesięć milionów złotych. Te pieniądze nie idą w błoto, są konkretnie wykorzystywane z myślą o utrzymaniu i rozwoju linii 108. Natomiast na pewno na razie nie ma szans na gruntowny remont odcinka między Ustrzykami a Krościenkiem.

CZY TO MA BYĆ ARGUMENT?

Jak podają portale zajmujące się tematyką kolejową, linia nr 108 nie będzie używana do przewozu towarów z Ukrainy. Szlak jest wykorzystywany tylko w lecie do przewozów pasażerskich. Polskie Linie Kolejowe rozpoczęły zaś remont dwóch mostów w okolicy Uherzec Mineralnych. Wcześniej wymieniono ponad 10 tys. podkładów, dokonano przeglądu i poprawy widoczności na przejazdach kolejowo-drogowych oraz wyremontowano most nad Sanem w Zagórzcu. Nie są to prace, które umożliwią na linii 108 rozwinięcie dużych prędkości. Obecnie można jeździć tam w porywach 50 km na godzinę.

– Czy to ma być argument, żeby pociągi nie kursowały? – pyta starosta Andruch. – Skład pasażerski do Sanoka jedzie obecnie godzinę, mniej więcej w takim samym czasie trasę z Ustrzki do Sanoka pokonuje autobus.

Aktualnie analizowana jest możliwość uruchomienia od nowego roku pociągów stałego kursowania w relacji Sanok – Ustrzki Dolne. Zarządcą linii kolejowej 108 jest Spółka PKP Polskie Linie Kolejowe. Czy to oznacza w istocie wyrugowanie dreżyn z torów? Jak twierdzi w wypowiedzi dla Nowin Dorota Szałacha, rzecznik prasowy PKP PLK, nikt dreżyn z linii 108 nie wyrzuci.

– Oby to była prawda – mówi Janusz Demkowicz i zaznacza, że również jego zdaniem da się przy dobrej woli połączyć kursy pociągów z kursami dreżyn. **KP, MPR**

PO CO W TRAWIE PISZCZY

JAKUB DEMEL



Właściwe proporcje Baligrodu

Baligród, krótki opis: miejscowość o statucie siedziby gminy położona na zachodnim odcinku wielkiej obwodnicy między Bramą w Bieszczadach (Lesko) a Pradolniami Bieszczadami (Cisna). Zabytki: niedostrzeżone ruiny zamku Balowa, pomnik ofiar krwawej niedzieli, kościół, cerkiew, kirkut, czołg. Przewodniki turystyczne skupulają i wymieniają jeszcze: cmentarz wojenny, poczta, szkoła, ośrodek zdrowia, apteka, posterunek policji, sklepy, przystanek autobusowy. Różnica między danymi a naszymi wydaniami zacierają się raptem w słowach milicja – policja.

O Baligrodzie zwykło się pisać skróto-wo, a mówić lekceważąco. Sąsiednia gmina uważała go za gminę powiatu, imna ma węzeł kolejowy, następna przejście graniczne w słynnym tunelu, legendę Szwecjaka i klasztor zaciągany z prymasem. Kolejny sąsiad ma zakłady i góry oplecione gęstą siecią szlaków turystycznych wchodzących w wielkie polacie Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Następny sąsiad ma największą w Polsce zapórę, zalew, kolejkę gondolową, kurort Soliny i Polańczyk. O Baligrodzie, który utracił pomnik w Jabłonkach, o Baligrodzie odcinającym przez zaryłkę, najczulsze jest, już przed laty mówiono, że gdyby to tu było wielkie bieszczadzkie jezioro, to z pewnością by wyschło. No właśnie, więc czego się po Baligrodzie można spodziewać?

Dziś okazuje się, że należało się spodziewać nieuczynności. A to rzecz, jak wiadomo, rzadka. O co chodzi? O to, że wyszły władze Baligrodu ukierunkowany został do wewnątrz. Zamiast kolektować turystów organizacją masowych imprez w ogólnopolskiej skali angażujących celebrytów czy wybudować na rynku największą w Bieszczadach karuzelę, wykonano tu mnóstwo autentycznie porządnej roboty podnoszącej standard życia, czy inaczej mówiąc dobrostan, obywateli własnej gminy. Kompleks ostatnich działań, od wielkopowierzchniowego targowiska, poprzez okazały obiekt domu pomocy społecznej, aż po jakże ważne mieszkania socjalne, dobitnie o tym świadczy.

Czy coś za coś? I tak, i nie, a przynajmniej nie do końca. Funkcjonują ośrodki wypoczynkowe, pensjonaty, gospodarstwa agroturystyczne. Gmina uczestniczy w ich promocyjnych działaniach. A jest co promować. To właśnie tu są lasy rozslawione w książkach i ruchomych obrazach przez miejscowych leśników, które w całym kraju zyskały opinię najlepszej szkoły przyrodniczej edukacji. Lasy, w których bez groźby mandatu zerwać można poziomkę, jeżynę i malinę, lasy dostępne bez biletu. To właśnie tu są góry i mogły owiane porurą sławą zimowych zmagani 1914/1915 r. To właśnie tu są dziś urokliwe i tajemnicze pamiątki tragicznych powojennych lat – puszkowania po nieistniejących wsiach historycznie korespondujące ze świętym pustkowiem przy szosie w Jabłonkach.

To wabi przybywają. Nie wszystkich, ale o wszystkich nie warto zabiegać. Bieszczady żyją z turystów, to prawda, ale też żyją na co dzień przez pozostałe dziesięć pozostawiających miejsc. Baligród znalazł właściwe proporcje: to dla nich, dla gości, a to dla nas, bo my, mieszkańcy, też jesteśmy ważni.

„Bieszczady w moim obiektywie”

Rozstrzygnięliśmy konkurs fotograficzny pod hasłem „Bieszczady w moim obiektywie”. Konkurs trwał od maja do końca sierpnia tego roku. Warunkiem uczestnictwa było przesłanie na adres redakcji co najmniej trzech fotografii własnego autorstwa oraz wyciętych z kolejnych numerów Gazety Bieszczadzkiej kuponów konkursowych. Do redakcji wpłynęło kilkanaście zgłoszeń, jednak jedynie w trzech przypadkach uczestnicy zastosowali się do wymogów konkursu. Tym samym prace pozostałych nie mogły być wzięte pod uwagę w czasie obrad jury.

Komisja konkursowa w składzie: Andrzej Górski, Krzysztof Potaczała, Katarzyna Dudzińska postanowiła nie przyznawać pierwszej ani drugiej nagrody.

Trzecia nagroda przypadła Panu Bartoszowi Potockiemu z Ustrzki Dolnych za fotografię ukazującą wiewiórkę trzymającą w łapkach orzech.

Serdecznie gratulujemy. O terminie i miejscu odebrania nagrody rzeczowej – robota kuchennej – powiadomimy autora telefonicznie. Dziękujemy wszystkim uczestnikom za udział w konkursie.

MP

Przez niedbalstwo pracowników prowadzących ekshumacje, ludzkie szczątki wciąż są wmywane przez jezioro

Woda znowu oddała kości

Zalew Soliński kolejny raz wyrzucił ludzkie kości na brzeg. To szczątki dawnych mieszkańców zalanych wsi.

W ciągu minionych dekad, gdy spadał poziom wody w jeziorze, oprócz pni ściętych drzew, konarów, resztek dawnej zabudowy, także sakralnej, zbiornik odślaniał również ludzkie kości. Tak było m.in. w Sokolem i Telesnicy.

SKĄD PISZCZELE I CZASZKI?

Zalew Soliński powstał w 1968 roku, a prace trwały prawie osiem lat. Rozbierano zabudowę, wycinano drzewa, niwelowano teren. Trzeba było też przenieść cmentarze. – Wraz z inżynierami i robotnikami do wiosek zaplanowanych pod zalanie wkroczyły ekipy ekshumacyjne – opowiada dawny mieszkaniec Soliny. – Miesiącami odkopywano groby, trumny z ludzkimi szczątkami przenoszono gdzie indziej, ale wkrótce po zakończonych pracach pojawiły się wątpliwości, czy ekshumacje przeprowadzono precyzyjnie. Sprawa szybko ucichła, jednak lata później okazało się, że popełniono szereg błędów. Pozostawiono na przykład na pastwę losu cmentarz w Sokolem, bo – jak wynikało z obliczeń ekspertów – woda nigdy nie miała sięgnąć pagórka z nagrobkami. Sięgnęła, a piszczele i czaszki wypływały z podmywanej skarpy jeszcze w kilkadziesiąt lat po otwarciu zapory.

Parokrotnie natrafiali na nie żeglarze i wędkarze, którzy zakopywali kości na najbliższym brzegu. Zwykle na tyle płytko, że z czasem woda wmywała szczątki i znowu pływały po



Na brzegu jeziora turysta natrafił na piszczele, kości żeber i czaszek FOT. DARIUSZ GINTER

tafli jeziora bądź zalegały na brzegu, w trawie i piachu. Niekiedy powiadamiano o odkryciu policję i prokuraturę, częściej nikt się nie trudził i we własnym zakresie grzebał odślonięte kości.

OBURZENIE NA BRAK DZIAŁANIA

Początkiem września Zalew Soliński znowu wyrzucił piszczele, fragmenty żeber i resztki czaszek na brzeg. Przypadkowy turysta zrobił zdjęcia, które szybko obiegły media, a w portalach społecznościowych rozgorzała dyskusja. – Jestem naprawdę zły. Brak już sił, by znowu piętnować bezduszną i obojętną decyzję oraz



obecnych mieszkańców – pisze Piotr Tyma, członek Zarządu Głównego Związku Ukraińców w Polsce, którego dziadkowie mieszkali w Zawozie.

Inny internauta uważa, że kwestia wypłukiwanych co jakiś czas ludzkich szczątków powinna być przedmiotem większego szacunku i zainteresowania władz. Być może należałoby wszystkie te kości przenosić w jedno miejsce, najlepiej na jakiś czysty cmentarz. Zakopywanie ich płytko pod ziemią powoduje, że z czasem przyroda znowu je odślania, a tak być nie powinno. To nieustanne zakłócanie spokoju zmarłych.

Kolejny forumowicz nie rozumie

„całego tego szumu”, bo przecież w wielu miejscach Bieszczadów odnajdywane są przypadkiem ludzkie szczątki – najczęściej z okresu pierwszej wojny światowej, chociaż zdarzają się też te późniejsze, z ostatniej wojny i konfliktu ukraińsko-polskiego z lat 1944-1947. – Co innego jednak, gdy natrafia się na szczątki poległych, grzebanych naprędce bez trumien, a co innego, gdy mamy do czynienia z nieboszczykami, których komisje ekshumacyjne po prostu nie zauważyły z niedbalstwa i pozostawiły na pastwę natury – argumentuje współczesny mieszkaniec Soliny.

KP

Trefne auta na granicy

Ostatnio na podkarpackich przejściach Straż Graniczna zatrzymała dwa kradzione samochody. Ich wartość to ponad 260 tys. zł.

Pierwszy zatrzymano 21 września podczas kontroli samochodów osobowych wjeżdżających do Polski przez przejście graniczne w Korczowej. Tuż po godzinie dwunastej do odprawy granicznej zgłosiła się 49-letnia obywatelka Ukrainy. Kobieta kierowała Toyotą CHR (rok prod. 2021) na ukraińskich numerach rejestracyjnych. W trakcie kontroli funkcjonariusze ustalili, że auto figuruje w międzynarodowych bazach poszukiwawczych SIS i INTERPOL jako utracone w Grecji. Samochód o szacunkowej wartości 130 tys. zł zatrzymano i wraz z kierowcą przekazano funkcjonariuszom policji.

Kilka godzin później strażnicy graniczni z Krościenka odzyskali drugi skradziony samochód. Tym razem był to Lexus NX300h (rok prod. 2016), którego próbował wywieźć z Polski 62-letni Ukrainiec. W wyniku kontroli legalności pojazdu ustalono ingerencję osób trzecich w pole numerowe VIN (niepowtarzalne numery identyfikacyjne pojazdu). Samochód zostanie poddany szczegółowej ekspertyzie przez specjalistów z SG. Jego szacunkowa wartość to 130 tys. zł.

W tym roku funkcjonariusze Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej zatrzymali samodzielnie lub przy współpracy z innymi służbami blisko 100 aut pochodzących z przestępstwa. Ich łączna szacunkowa wartość przekracza 6,7 mln zł.

MPR



FOT. ARCHIWUM BIOSO

Na Połoninie Wetlińskiej otwarto nowy schron dla turystów pod starą nazwą Chatka Puchatka. Jest w nim również dyżurka GOPR i straży Bieszczadzkiego Parku Narodowego.

Budynek stanął w miejscu dawnego schroniska. Jest zupełnie inny architektonicznie. Przy schronie powstały tarasy widokowe, stanęły panele słoneczne, wygospodarowano również plac do zajęć edukacyjnych; będą prowadzone przez pracowników Bieszczadzkiego Parku Narodowego.

Działą już mechaniczno-biologiczna oczyszczalnia ścieków. Woda w Chatce pochodzi z dwóch źródeł – dla celów konsumpcyjnych jest dowożona w atestowanych zbiornikach i przelewana do podobnych na parterze budynku. Z kolei deszczówka jest gromadzona w specjalnych zbiornikach i służy do celów sanitarnych. Do schroniska została doprowadzona energia elektryczna (kabel podziemny). To gwarancja zasilania łączności w celach ratowniczych, łączności mobilnej i trwałości pracy urządzeń wewnątrz obiektu.

Obecny budynek nie jest schroniskiem w pełnym tego słowa zna-

Otwarto przytulisko na Wetlińskiej



Nowa Chatka Puchatka na Połoninie Wetlińskiej FOT. ARCHIWUM ODDZIAŁU PTTK W RZESZOWIE

czeniu. Nie ma tu w salach łóżek dla turystów, jest jednak miejsce, w którym będą mogli położyć się w śpiworach i przespać noc w razie załamania pogody. Każdy piechur będzie mógł skorzystać z ubikacji, napić się gorącej kawy i herbaty, zjeść własny posiłek, a nawet kupić pamiątkę z gór. W porównaniu z poprzednią

Chatką Puchatką, w nowej nie ma baru.

Prace przy budowie trwały od 2019 roku. Gruntowna modernizacja była częścią dużego projektu pn. „Zachowanie bioróżnorodności Połoniny Wetlińskiej poprzez ochronę zagrożonych gatunków przed negatywnym oddziaływaniem turystyki”.

Na otwarcie schroniska przybyli turyści, mieszkańcy okolic, samorządowcy, działacze PTTK, politycy. Marszałek województwa podkarpackiego Władysław Ortyl powiedział m.in.: „Pamiętamy Chatkę Puchatką, która była miejscem kultowym i na zawsze taka zostanie. Mamy wiele wspomnień, pamiętamy osoby, które legendę tego

miejsca tworzyły. Ten projekt był z wielu względów trudny, dlatego dziękuję pracownikom Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Było wiele trudności fizycznych i administracyjnych, które udało się przezwyciężyć. Chciałem zadeklarować, że ufundujemy tablicę, która upamiętni osoby pracujące na rzecz tego miejsca, przede wszystkim naszego przyjaciela Lutka Pińczuka”.

Wraz z otwarciem nowego schronu BdPN zmienił ruch na szlakach turystycznych prowadzących na szczyt Połoniny. Przywrócono pierwotny przebieg szlaku czerwonego przez Smerek-Połoninę Wetlińską do Brzegów Górnych. Pozostawiono otwarty szlak łącznikowy zielony przy dolnej granicy lasu, łączący szlak żółty z Przełęczą Wyżną, czerwony z Brzegów Górnych i czarny z Campingu Górna Wetlinka. Nadal będzie zamknięty odcinek szlaku żółtego z Przełęczą Wyżną od dolnej granicy lasu do schronu turystycznego BdPN na Wetlińskiej. Z parkingu na Przełęcz Wyżną można dotrzeć do Chatki wędrując szlakiem żółtym do dolnej granicy lasu, następnie zielonym łącznikowym i dalej czerwonym.

MP

SAMORZĄD

Dziecięca uczelnia wkracza w nowy rok wykładów i warsztatów

Edukacja może być wielką przygodą

Po raz kolejny Fundacja Wspierania Edukacji przy Stowarzyszeniu Dolina Lotnicza zaprosiła na zajęcia Dziecięcego Uniwersytetu Technicznego w Ustrzykach Dolnych.

Od początku powstania ustrzycka filia DUT cieszy się dużym zainteresowaniem wśród młodych poszukiwaczy wiedzy, którzy dzięki proponowanym wykładom i warsztatom odkrywają świat nauki w niecodzienny sposób.

WYJĄTKOWY CZAS, ŚWIETNA ZABAWA

Semestr zimowy 2022/23 zaplanowano w pełni stacjonarnie i bezpłatnie. W zajęciach wezmą udział dzieci w wieku 7-12 lat, uczęszczające do szkół podstawowych na obszarze gminy Ustrzyki Dolne. Wykłady finansowane są przez partnera strategicznego projektu (Gminę Ustrzyki Dolne), odbywać się będą przy współpracy ze Szkołą Podstawową Nr 1 w Ustrzykach oraz Ustrzyckim Domem Kultury.

Celem Dziecięcego Uniwersytetu Technicznego jest pokazanie małym studentom, że nauka może mieć różne formy, nie musi kojarzyć się z nudą czy szkolnym przymusem, a wręcz przeciwnie – odpowiednie przygotowanie zajęć sprawia, że staje się ona świetną zabawą i wyjątkowym spędzeniem czasu wolnego.



Zajęcia dla młodych studentów są interesujące i poszerzają horyzonty myślowe

FOT. ARCHIWUM DUT

PRĄD NA WŁASNEJ SKÓRZE

Harmonogram semestru zimowego DUT w Ustrzykach Dolnych dla swoich uczestników przewiduje cztery godzinne wykłady popularnonaukowe. Uczestnicy m.in. zgłębią taj-

niki motoryzacji, zastanawiając się nad tym, co sprawia, że samochody jeżdżą. Będą mogli „rozłożyć” na części pierwsze to, co znajduje się pod maską czy pod podłogą auta. Na innym wykładzie słuchacze uświadomią sobie, że elektryczność jest dosłownie wszędzie. Poznają nie tylko właściwości prądu oraz przekonają się na własnej skórze, że ciało człowieka również przewodzi prąd. Dzieci wraz z prowadzącym zastanowią się także nad powszechnością mikropłastiku. Dowiedzą się, w jaki sposób mikropłastik cyrkuluje w środowisku, jaki ma wpływ na florę i faunę oraz jaki może mieć wpływ na nasze zdrowie. Nie zabraknie pakietu wiedzy z astronomii. Uczestnicy dowiedzą się, czym wyróżnia się Słońce na tle innych gwiazd oraz jak przedstawia się nasz układ planetarny w porównaniu z tysiącami innych układów planet w Galaktyce.

MOLEKULARNY KAWIOR, OWOCOWE PIANKI

W planach semestru pojawią się też półtoragodzinne warsztaty prowadzone w małych, 15- osobowych grupach. Każdy zakwalifikowane dziecko weźmie udział w czterech sesjach warsztatowych. Uczestnicy podczas warsztatów z „Wybuchowej geografii” zgłębią wiedzę o budowie wnętrza Ziemi, poznają

rodzaje wulkanów oraz gejzerów nazywanych naturalnymi fontannami. Mali studenci „posmakują” również nieco kuchni molekularnej, przygotowując przy tym agarowe żelki, molekularny kawior czy owocowe pianki. Zbudują roboty z klocków lego, które następnie zaprogramują, a także poznają tajniki druku 3D, ćwicząc przy tym wyobraźnię przestrzenną i twórcze myślenie.

Uczestnicy wykładów na pierwszym spotkaniu otrzymają wyprawkę studenta składającą się z indeksu, identyfikatora, notesu oraz wybranego gadżetu DUT. Z kolei uczestnicy warsztatów dostaną dodatkowo „Zestaw Naukowca” zawierający materiały wraz z instrukcją do samodzielnego doświadczania i eksperymentowania w domu.

NAUKOWE NIEDZIELE I NIE TYLKO

W wykładach i warsztatach Dziecięcego Uniwersytetu Technicznego w Ustrzykach Dolnych weźmie udział 60 osób. Wszystkie zajęcia będą prowadzone w soboty. Wykłady w Ustrzyckim Domu Kultury, natomiast warsztaty w Szkole Podstawowej nr 1. Zarejestrowani studenci skorzystają ponadto z dodatkowych zajęć w ciągu roku, takich jak Naukowe Niedziele Online czy warsztaty online z okazji SPINday oraz Dnia Nauki Polskiej.

Wszelkie pytania prosimy kierować na maila info@dolinawiedzy.pl lub pod numerem tel. (17) 865-30-04. Zapraszamy również na profil na Facebooku: Dolina Wiedzy oraz Dziecięcy Uniwersytet Techniczny.

MPR/www.dolinawiedzy.pl

Rowerem po płaskim i pod górę

Gmina Ustrzyki Dolne i Ustrzyckie Stowarzyszenie Kultury przygotowały foldery, mapy oraz podstronę internetową www.bike.ustrzyki-dolne.pl, w których prezentują dwa szlaki turystyczne dla osób o różnych możliwościach fizycznych.

Pierwszy to szlak turystyczno-rowerowy o długości 18 km. Prowadzi przez Ropienkę, Stańkową i Zawadkę. Trasa jest w formie pętli, z trzema miejscami postojowymi, dostosowana dla rodzin z dziećmi i osób starszych. Drugi szlak rekomendowany jest dla osób uprawiających jazdę wyczynową. Wiedzie grzbietem Kamiennej Laworty i również ma formę pętli o długości 15 km.

Szlaki rowerowe to jeden z naszych ważnych produktów turystycznych – podkreśla Bartosz Romowicz, burmistrz Ustrzyk Dolnych. – Dzięki nim tworzymy wizerunek mikroregionu jako miejsca atrakcyjnego dla turystów zainteresowanych aktywnym wypoczynkiem, w szczególności turystyką rowerową. Wespół z mieszkańcami dbamy o to, by nasza gmina była postrzegana jako idealne miejsce do odpoczynku.

Trasa rowerowa na Kamiennej Laworcie rozpoczyna się przy skrzyżowaniu ul. Zielonej z ul. Nadgórną w Ustrzykach Dolnych. Dalej kierujemy się czerwonym szlakiem w kierunku górnej stacji narciarskiej na Laworcie. Z miejsca widokowego przy stacji podążamy czerwonym szlakiem w kierunku szczytu, skąd kierujemy się w stronę źródeł Strwiąży. Z miejsca postojowego przy źródłach podążamy szlakiem niebieskim do ul. Strwiąży, a następnie ul. Łukasiewicza i ul. Gombrowicza wracamy do ul. Nadgórnej, skąd wyruszyliśmy. Trasa ze względu na ukształtowanie terenu dostępna jest od późnej wiosny do jesie-

ni. Możemy na niej zobaczyć m.in. krzyż nad urwiskiem, miejsce po dworze rodziny Nanowskich czy dawną cerkiew greckokatolicką w Strwiążyku.

Szlak turystyczno-rowerowy Ropienka rozpoczyna się w parku wiejskim w Ropience. Stamtąd kierujemy się drogą numer 2226R do Stańkowej, gdzie przy świetlicy wiejskiej znajduje się miejsce na odpoczynek. Wracamy ponownie na drogę nr 2226R w kierunku Zawadki. Przy zabytkowym cmentarzu w Zawadce jest kolejne miejsce postojowe. Potem ruszamy drogą nr 2224R w kierunku Ropienki. Tam, obok szkoły podstawowej, skręcamy w prawo i drogą powiatową nr 2293R wracamy do parku wiejskiego przy kościele pw. św. Barbary. Trasa jest dostępna cały rok. Na szlaku warto zobaczyć pomnik upamiętniający pomordowanych przez UPĄ w Ropience, Krzyż kopalniany w Ropience, kapliczkę przydrożną w Stańkowej, kościół filialny w Stańkowej, miejsce podworskie Stańkowa, kościół pw. Krzyża Świętego i Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Rozpuciu, cmentarz w Zawadce, kapliczkę przydrożną w Zawadce, kaplicę grobową Wierzbickich w Ropience, zabytkową kopalnię ropy naftowej w Ropience.

Rowerowe szlaki turystyczne w gminie Ustrzyki Dolne powstały dzięki finansowaniu z Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich i Regionalnego Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020. W ramach projektu przygotowano 10 tys. folderów informacyjnych, 10 tys. map poglądowych oraz podstronę internetową: www.bike.ustrzyki-dolne.pl. Pieniądze na realizację zadania to 19 681,00 zł, przy wkładzie własnym jedynie 0,50 zł.

MPR

Przyjdź po relaks do ogrodu

Można już korzystać z ogrodu sensorycznego w Ustrzykach Dolnych. To pierwsze tego typu miejsce w Bieszczadach.

Ogród powstał w ramach działania realizowanego z funduszy Budżetu Obywatelskiego na 2022 rok. Ideą projektu było zwiększenie przestrzeni zielonej dla mieszkańców. – Ekologia jest dla mnie bardzo ważna, dlatego cieszę się, że ogród stanie się wizytówką miasta – mówi Bartosz Romowicz, burmistrz Ustrzyk Dolnych. To kolejny krok w stronę dbałości o zdrowie, ekologiczne podejście do gospodarowania terenem użyteczności publicznej. Ogród sensoryczny to jednak dużo więcej. Ma on wpływ na pobudzanie zmysłów poprzez odpowiedni dobór roślin. Takie miejsce w centrum miasta to okazja do odpoczynku, odprężenia po ciężkim dniu pracy, do relaksu.

Ogród sensoryczny jest miejscem dla każdego. Spełnia nie tylko funkcje spacerowo-rekreacyjne, ale przede wszystkim terapeutyczne i edukacyjne.

DZIAŁANIE NA ZMYŚŁY

Ogród podzielony jest na następujące strefy: **wzroku:** nasadzone zostały rośliny o intensywnych barwach, m.in.: żurawki, hortensje, lawenda; trawy ozdobne, m.in.: miskanty i ostnice, pysznogłówki, jeżówki, krwawnik, róże, orszelina, miódunka, szalwie ozdobne, rozchodniki, aster jesienny, piwonia i wiele innych. Zmienność kwitnienia w okresie wegetacyjnym przebiegać będzie na tle różnorodnej i stałej kolorystyki krzewów i traw. Całość kompozycji prezentować będzie paletę kolorów od wiosny do jesieni; **sluchu:** w tej strefie można będzie się zatrzymać, usiąść na ławce lub trawie i wsłuchać się w delikatny szum drzew, szelest liści, świergot ptaków, chrzęst żwiru pod nogami oraz wody spływającej kaskadą; **węchu:** na tym obszarze rośliny dobrane będą w taki sposób, aby natężenie zapachów było jak najintensywniejsze. Wśród piwonii, lawendy, róż odnajdziemy posadzone w skrzynkach różnego rodzaju zioła. Rozpoznawanie roślin jest ciekawym i niepowtarzalnym doświadczeniem;

smaku: kącik ziołowy to miejsce dla kulinarnych maniaków, tam wysadziliśmy m.in. miętę, melisę cytrynową, szalwie lekarską, oregano, majeranek. A w ką-

ciku owocowym możemy częstować się borówką amerykańską, agrestem czerwonym i zielonym, porzeczką czerwoną i czarną, morwą białą, różą jadalną i winoroślami;

relaksu: obejmują kilka urokliwych zakątków położonych w różnych częściach ogrodu. Można będzie usiąść i odpocząć na drewnianych ławkach. Miejsca te otoczone zostaną ciepłymi barwami, przyjemnymi dźwiękami i zapachem otaczającej przyrody wprowadzającej w nastrój odprężenia.

PO ŚCIEŻCE BOSZYCH STÓP

Każda z przestrzeni będzie obfitowała w dany rodzaj roślin lub elementów małej architektury. Ważną rolę odegrają rośliny zimozielone oraz gatunki ozdobne zimą. Elementem łączącym będzie tak zwana ścieżka boszych stóp. Nawierzchnia została zbudowana z sektorów wypełnionych różnymi materiałami: rozdrobnioną korą, piachem, żwirem, płaskimi kamieniami i żłbkami drewna. Dodatkowym elementem jest kaskada z zamkniętym obiegiem wodnym.

Wszelkie rośliny zostały wyposażone w system nawadniania.

MPR



Pierwsi użytkownicy tuż po otwarciu ogrodu

FOT. ANDRZEJ GÓRSKI

Rzecznik alarmuje: - Trzeba zmienić przepisy

Dzieci giną na hulajnogach

Tylko od stycznia do lipca tego roku w wypadkach na hulajnogach elektrycznych kilkadziesiąt dzieci zostało rannych, a jedno zginęło. Choć przepisy częściowo dostosowano do rosnącej popularności takich pojazdów, wciąż brakuje obowiązku jeżdżenia w kasku i ochraniaczach – alarmuje Rzecznik Praw Dziecka.

Z danych podawanych przez ekspertów wynika, że elektryczne hulajnogi można wypożyczyć już w 90 miastach Polski (rok temu w zaledwie 35) i jest ich już ponad 46 tysięcy. Niestety, bardzo duża jest także liczba wypadków i kolizji drogowych z udziałem małoletnich użytkowników hulajnóg elektrycznych, a tym samym wzrosła liczba dzieci trafiających z poważnymi urazami do gabinetów ortopedycznych i stomatologicznych – pisze rzecznik Mikołaj Pawlak do ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka. I przytacza mocno niepokojące dane Komendy Głównej Policji. W pierwszym półroczu tego roku głównie dzieci i nieletni kierujący hulajnogami elektrycznymi spowodowali 85 wy-

padków i kolizji oraz byli uczestnikami 171 takich kraks. Rannych zostało w sumie aż 51 osób, a 1 dziecko zmarło.

WYPADEK ZA WYPAKEM

Lekarze nie mają wątpliwości – hulajnoga jest jednym z najbardziej niebezpiecznych pojazdów. Najczęściej spotykane obrażenia po wypadkach to urazy rąk i nóg, żeber oraz głowy (w tym z utratą przytomności), do tego połamane nosy, wybite zęby, złamane kości czaszki, zwichnięcia i oczodołu.

Jak podkreśla Rzecznik Praw Dziecka, w czasie wypadków z reguły powtarzają się te same mechanizmy – dzieci bez kasku i ochraniaczy, bez znajomości zasad ruchu drogowego wjeżdżają wprost pod samochody osobowe, a nawet ciężarowe. Przykładem takich zdarzeń jest tragiczny wypadek z maja tego roku, w którym 12-letni chłopiec na hulajnodze elektrycznej, włączając się do ruchu, wpadł pod ciężarówkę. Dziecko zmarło w szpitalu. Pod koniec czerwca do szpitala trafił inny 12-latek, który hulajnogą elektryczną wyjechał z drogi podporządkowanej pod koła samochodu

osobowego. Z kolei dwie nastolatki, jadąc razem na hulajnodze elektrycznej, wjechały na przejście dla pieszych i uderzyły w przejeżdżające auto.

KASK POWINIEN BYĆ OBOWIĄZKOWY

Zdaniem Mikołaja Pawlaka konieczne są zmiany w przepisach, które pozwolą zwiększyć bezpieczeństwo zarówno jeżdżących hulajnogami osób, jak i pozostałych uczestników ruchu. „Mimo że nie ma przepisów nakazujących używanie zabezpieczenia w postaci kasku podczas jazdy na hulajnodze, zarówno lekarze, jak i funkcjonariusze policji apelują o jego zakładanie. Chroni on potyliczną część czaszki, a niektóre modele chronią także zuchwę. Niezbędnym elementem wyposażenia powinny być też ochraniacze na łokcie i kolana, w szczególności, gdy użytkownikiem jest dziecko” – wskazuje rzecznik i wnosi do ministra o przestanie wyników badań monitorujących zachowania kierujących m.in. hulajnogami elektrycznymi oraz informacji o planowanych działaniach w tym zakresie.

MPR



Jazda na hulajnodze elektrycznej może być przyjemna, ale bywa też niebezpieczna
FOT. PIXABAY

Jak Karol Okrasa gotował w Bieszczadach

TVP wyemitowała pierwszy odcinek programu kulinarnego „Okrasa tamie przepisy”, który słynny kucharz zrealizował w Bieszczadach.

Tym razem gotował w Nadleśnictwie Baligród. Po terenie oprowadzali go Kazimierz Nózka i Marcin Scelina, leśnicy rozpoznawalni w całej Polsce. – Nasz gość wybrał rejon Baligrodu osobiście, bez naszego udziału – mówi Kazimierz Nózka. – Przygotowywał lokalne potrawy na swój własny sposób, czyli modyfikował nieco oryginalne przepisy. Przyznam, że dania mi smakowały, choć mocno odbiegały od tradycyjnych.

Znany kucharz gotował przy Jeziorze Bobrowym nieopodal szlaku na Chryszczatą, a także nad Rabskim Potokiem. Przygotował m.in. stolniki, czyli gołąbki z tartymi ziemniakami, oraz pierogi z kaszą gryczaną. Kazimierz Nózka dostarczył mu śmietanę z Bukowca i pesto z czosnku niedźwiedziego.

Zrealizowany odcinek TVP wypuściła pod tytułem „Talerz bieszczadzkiego leśnika”. Oprócz gotowania i prezentacji potraw widzowie mogli wysłuchać ciekawych opowieści pana Kazimierza o bieszczadzkiej przyrodzie. – Nie wiem jak telewizorowi, ale Karol Okrasa był mocno zainteresowany dziką przyrodą, życiem niedźwiedzi i żubrów – opowiada leśnik. – W ogóle sprawił wrażenie ciepłego, sympatycznego człowieka, któremu popularność nie uderzyła do głowy.

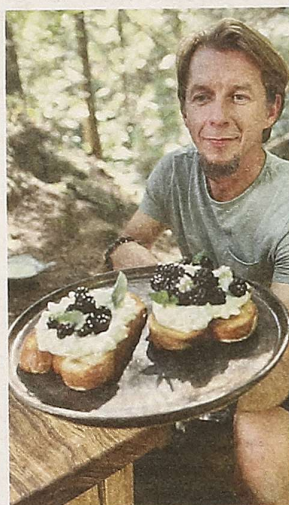
Drugi odcinek programu nagranego w Bieszczadach zostanie wyemitowany w październiku. Tym razem Karolowi Okrasie będzie towarzyszył

Marcin Scelina. – Jestem wybredny do jedzenia, ale wszystko przygotowane przez Karola mi posmakowało – chwali potrawy leśnik.

Co takiego razem pichcili i o czym znany botanik opowiadał mistrzowi kuchni? – Opowiedziałem mu o jadalnych roślinach dziko rosnących w okolicy – zdradza Marcin Scelina. – Zachęcałem go też do częstszego przygotowywania jarskich i postnych potraw, bo w obecnych czasach dobrobytu spożywa się zbyt dużo mięsa. Karol ugotował zupę gulaszową, gdzie zamiast wołowiny była ciecierzycza i tylko odrobina gęsiny. Do deseru dodaliśmy miętę długolistną i świeżo zebrane jeżyny gruczołowate.

Oprócz tego był pstrąg z ogniska z borowikami w sosie oraz salsa z ogórka małosolnego z ziarnami słonecznika.

MPR



Mistrz Karol Okrasa podczas tamania tradycyjnych przepisów w bieszczadzkim lesie FOT. MARCIN SCELINA

Władek „Dobre, bo gorące!”



Władek Chruścicki i Robert Makłowicz przed laty podczas nagrywania programu kulinarnego

OPOWIEŚCI Z LASU

EDWARD MARSZAŁEK

Cała Polska poznała go dzięki Robertowi Makłowiczowi, który nad Tarnawą realizował jeden z odcinków swojego cyklu „Podróży kulinarnych”. W jednej ze scen wystąpił właśnie wózek z Tarnawy Niżnej, Władek Chruścicki.

Przyjechał w Bieszczady z Nienadowej, gdzie całą młodość spędził pracując na roli. Akuratnie jesienią 1981 roku każda para rąk i para koni znajdowała zatrudnienie i godny zarobek w dolinie górnego Sanu. Wpierw zrywał w leśnictwie Światłaskiego w Tarnawie, ale wkrótce trafił do Sokolik, gdzie stajnia była wygodniejsza i więcej roboty. Rozmowny nigdy nie był, częściej pogadał z końmi niż z ludźmi. Pracował końmi prywatnymi, potem państwowymi z parku konnego w Pszczelinach, by wreszcie zostać samodzielnym przedsiębiorcą; kupił konie, wóz i zrywał w kolejnych leśnictwach. Bywało też, że jechał w góry po jelenia lub zubra, strzelonego przez jakiegoś dygnitarza czy dewizowca. Często potem przysyłał mu zdjęcia, jedno z nich wisi do dziś w chatce w Tarnawie.

PODPIĘTY DO MIKROPORTU

Jego występ u Makłowicza zimą 2003 roku był trochę przypadkowy, bo główną rolę zaplanowano dla Dudka, który miał większą śmiałość do kamery. Tylko że ten okazał się zbyt śmiały w stosunku do Ewy Wachowicz i trzeba go było wycofać z planu. To miała być ostatnia scena kręcona tego dnia, bo szło ku wieczorowi, poza tym kończyła się taśma w kasie kamerzysty.

- Tego nie można zepsuć! - zaznaczał reżyser, omawiając szczegóły. Scena miała wyglądać tak, że Władek zrywa w wiązce bukowe wałki do drogi i podjeżdża z ładunkiem do wozu, na którym Robert Makłowicz kończy gotować gulasz. Władka podpięto do mikroportu...

- Pan pamięta, panie Władku; kilka komend dla koni, zjazd do drogi i podjeżdża pan do Roberta na zakup. Jasne?

- Jasne...



Chwila na papierosa FOT. EDWARD MARSZAŁEK (2)

Gdy operator krzyknął: „Gotowe! Kamera, poszła!”, Władek zaciął konie. Z monitora reżysera dobiegły nas krzyki: „wio k...a!, wiśta k...a!, myśl co robisz! Wioooooooooo!”

Powtórzyć się tego już nie dało, ścieżka dźwiękowa była do wyrzucenia, więc teraz tylko trzeba było uratować scenę „karmienia”. Mistrz patelni podał Władowi „Zupę gulaszową z jelenia i z fasolą”. Ten zanurzył łyżkę, połknął i ci-sza...

- Jak?

- Dobre, bo gorące... - odrzekł furman.

- I tyle?

- No... i pożywno... - powiedziane nieco z wahaniem poszło w Polskę. Miliony ludzi widziały to potem na ekranach telewizorów, a już wie-

czorem, przy kolacji, zaczęliśmy komentować menu hasłem: „Dobre, bo gorące”.

ALBO ZJESZ, ALBO UMRZESZ

Gdy Władek pracował w parku konnym, mieszkał w hotelu w Muczmem, miał nawet jakąś sympatię, ale się nie palił do żeniaczki, więc poszli każde w swoją stronę. Miał też lokum w Pszczelinach, potem jednak musiał szukać sobie miejsca, bo park konny zlikwidowano, a hotel w Muczmem wydzierżawiono na schronisko turystyczne. Tak osiadł w Tarnawie, gdzie leśnicy zbudował z drewna schron mieszczący izdebkę furmana i stajnię na parę koni. Z czasem Władek wrósł w tę okolicę i już się stąd nie ruszył.

Kiedyś spotkało go nieszczęście. Konie jego

*Władek zaciął konie.
Z monitora reżysera
dobiegły nas krzyki:
„wio k...a!, wiśta k...a!, myśl
co robisz! Wioooooooooo!”*

szły spokojnie wzdłuż drogi z kopyta na kopyto i nagle pijany kierowca wrąbał się w jednego z nich, raniąc śmiertelnie. Sprawca był znajomy, więc Władek uwierzył, że pokryje szkody i odkupi zwierzę. Żeby ratować tylek pijaka nie zgłosił sprawy na policję. Pieniędzy nie zobaczył do dziś, a na zakup nowego nie było go już stać. A przecież koń to dla Władka cały jego świat.

Zdarzyło się, że kiedyś wieczorem zajął do niego Zamana, podobny jemu pustelnik z Sokolik. Siedzieli, piekli kielbasę, popijając wino, gdy ktoś zapukał do drzwi. Władek wpuścił nocnego przybysza, który rozdgotany z zimna siadł przy piecu nic nie mówiąc. Wyglądało, że nocą przechodził przez graniczny San.

- Wina się napijesz? - podsunął mu szklanekę. Ten pokręcił głową.

- Papierosa zakurzysz? - ta sama reakcja na wyciągniętą paczkę mocnych.

- Kielbasy chcesz? - znów przeczenie głową.

- Może spirytus?

- No, no! Ajem islam, Irak! - wzdrygnął się smagły przybysz.

- Islamem się nie najesz, a jak ty wódki nie pijesz, to w Bieszczadach zimy nie przetrzymasz - zawyrokowali. - A u nas irakijskich smakołyków nie ma.

- Masz tu kielbasę, jedz, bo wp...oł dostaniesz! - zagrozili przybyszowi.

I zjadł, i kieliszek chleba w płynie też przyjął, potem popił herbatą i zasnął. Wkrótce pojawili się u Władka pogranicznicy i zwinęli Irakijszka, którego tropili już od pewnego czasu.

- Całe szczęście, że zjadł, bo umarłby z głodu i zimna.

CZASY JUŻ INNE

Spotkałem Władka latem w 2021 roku, gdy na polecenie leśniczego Edka Kołomyi sprzątał punkt widokowy Pichurów, a właściwie szopa po tzw. bunkrze Rebrowa, czyli scenografię do „Watahy”. Był nieco „wczorajszy”; zanim zaczął rozmowę powiedział, że gdzieś tu ma schowane piwo, takie „na rozruch”. Zaczęliśmy szukać, dość długo bez skutku. Wreszcie wypatrzyłem szyjkę w trawie, gdzie butelka łapała chłód poranka. Podałem je Władowi, wyglądał, jakby drugie słońce wzeszło tego dnia... Pojaśniał, pogadał, potem zamyslił się...

- Były dobre czasy... - powiedział do mnie.

- A teraz?

- Teraz czasy już inne... - odparł filozoficznie, wpuszczając dym z papierosa.

Kilka lat temu przeszedł na emeryturę, ale z lasem nie umie się rozstać. Wciąż zajmuje się końmi, choć na własność ma tylko psa i kota. Nadleśnictwo chciało się delikatnie Władka pozbyć z kolidy, bo „teraz XXI wiek, a on żyje w takich warunkach, bez wody i bez prądu”. Ale gdy przyjechał nadleśniczy z tą informacją, Władek skromnie powiedział: „panie szanowny, starych drzew się nie przesadza!”. Najwyraźniej ten drzewny argument przekonał leśnika. Władek wciąż w towarzystwie psa przybłędy i ulubionego kota, trwa w Tarnawie, choć rzeczywiście „czasy już inne...”.

Miała żyć długo i szczęśliwie



Rok 2012. Antonina Majsterek i jej stado kóz FOT. KRZYSZTOF POTACZAŁA

WSPOMNIENIE

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Wianek z polnych kwiatów uploty jej przyjaciółki. Ubrała długą suknię i eleganckie buty. Staszek przywdział soroczkę – wyszywaną ukraińską koszulę. Potem poszli w orszaku przez łąki i potok do ruin cerkwi. Tu odbył się ich ślub, pierwszy we wsi od końca wojny.

Pochodziła spod Wrocławia. Sądziła, że z tym regionem wiąże dorosłe życie, ale odmieniło się jej po skończeniu techniku rolniczego. – Wraz z kilkoma koleżankami zapragnęłam wyjechać w Bieszczady. Był rok 1976, wypasano tu mnóstwo bydła. Ludzie ciągnęli z całej Polski, bo można było zarobić, chociaż robota nie należała do lekkich. Może dlatego nasze podania o pracę zostały odrzucone – wspominała po latach.

NIE ZOBACZYCIE MNIE PODLAMANEJ

Koleżanki dały sobie spokój, ale Antonina nie zrezygnowała. Po jakimś czasie znowu złożyła papiery i otrzymała pozytywną odpowiedź. Kazano jej przyjechać na rozmowę kwalifikacyjną do Lutowisk. – Mamo, tato, jadę w Bieszczady! – szczerze się cieszyła. – Rodzice za bardzo się nie sprzeciwiali, byłam dorosła. Ale przestrzegali mnie, że w Bieszczadach życie ciężkie, nie to co na nizinach. – Dam sobie radę, umiem o sobie zadbać – odpowiadała z zapałem.

Wysiadła z autobusu, wokół las i góry, cudnie. Rozmowę w przedsiębiorstwie rolniczym przeszła pozytywnie, kazali przyjechać na staż. – Po pewnym czasie wróciłam, a tu nic nieprzygotowane. Nie wierzyli, że się zdecydował i nawet nie zadbali o kwatery dla mnie. Dwa tygodnie spałam w zimnym baraczkach bez światła i wody. Nie było mi łatwo, ale zawzięłam się w sobie. „O, nie! Nie zobaczycie mnie podlamanej. Będę chodzić z wysoko podniesionym czołem. Ipokażę, że nie znalazłam się tu przypadkiem” – powtarzała w myślach.

Potem dostała już przyzwoite lokum. Chyba przełożeni ją docenili, chociaż od początku nie mogli zrozumieć, dlaczego młoda dziewczyna decyduje się na pracę w takim terenie. Co innego mężczyzna, silny, nawykły do niewygody. Ale kobieta? „Będzie pani musiała chodzić w gumniakach, uganiać się po chaszcach za krowami, nieraz przemoknąć do suchej nitki” – próbowali zniechęcać. – Im więcej mnie zniechęcali, tym bardziej chciałam tu zostać. Praca pracą, lecz przecież znalazłam się w wyjątkowym miejscu. Mogłam zachwycać się dziką przyrodą, chłonać ją wszystkimi zmysłami. Od początku czułam, że Bieszczady były mi przeznaczone.

BĘDZIESZ MOJĄ PANIĄ

Staszka Majsterka poznała na liczeniu bydła w Krywym. Szybko wpadł jej w oko. Przyjechał tu z Lubelskiego rok przed Antoniną. Wkrótce zaczęli się widywać częściej. – Chodziliśmy po górach, trzymaliśmy się za ręce, padły pierwsze wyznania. „Będziesz moją panią?” – zapytał podczas romantycznego spaceru Staszek. – Serce zabiło mi mocniej, krew pulsowała w skroniach. Z wrażeń coś wydukałam, ale już wiedziałem, że chcę spędzić z nim życie.

W sierpniu 1978 roku wzięli ślub cywilny. Postanowili, że zamieszkają właśnie w Krywym. To nie była łatwa decyzja, bo z dawnej ludnej wsi została tylko pusta dolina. Po wojnie wszystkich mieszkańców wysiedlono. I teraz mieli tu osiąść w jednym lichym budyńcu, przy lampie naftowej. Czerpać wodę nie z kranu, lecz z potoku. A zimą bać się, czy śnieżne zasy nie odetną ich od świata. „Nie martw się, razem pokonamy wszelkie niedogodności” – uspokajał ją mąż.

Wierzyła mu. Był odważny, zahartowany. – Czułam całą sobą, że jest mi oddany, zresztą zawsze do mnie mówił: „kochana, skarbie, najmilsza” A jak całował, to do utraty tchu. Co mogło mi się stać przy takim mężczyźnie? Pracowaliśmy w gospodarstwie od rana do wieczora, zajmowaliśmy się krowami, wykaszaliśmy łąki. I byliśmy szczęśliwi. Nie potrzebowaliśmy telewizora, nie przeszkadzało nam, że w promieniu paru kilometrów nie ma innych ludzi. Najbliżsi w Hulskiem, też jedna rodzina, a z drugiej strony Krywego wielka pustka. Cywilizacja dopiero w Rajskim...

JAK WYPUSZCZONA Z KLATKI

W 1980 roku Bieszczady opanował kombinat rolno-przemysłowy „Igłopol”. Dyrekcja planowała w Krywym stworzyć ogromną stadninę koni i organizować wczasy w siodle. Trzeba było zbudować linię energetyczną i wiele innych rzeczy. Z tego powodu Majsterkowie musieli się przenieść do Tarnawy Niżnej, pod radziecką granicę. – Zamieszkaliśmy w hotelu robotniczym – opowiadała Antonina. – To były nasze najtrudniejsze dni. Dla mas ludzi wspólna łazienka, wspólna kuchnia. I ten nieustający gwar, pijaństwo. Strasznie męczące, zero intymności. Prowadziłam tam magazyny zbożowe, Staszek był konserwatorem. „Stasiu, ja już tak nie mogę, zrób coś” – prosiła, a on się miotał. – Nie mieliśmy dokąd pójść. W trudnych chwilach po prostu mnie mocno przytulał i to było ważniejsze niż słowa. Ten ciężki test „na wygnaniu” przeszliśmy niemal wzorowo. Bardzo się wspieraliśmy. Po dwóch latach mogliśmy wreszcie wrócić do ukochanego Krywego. Poczułam się tak, jakby wypuszczono mnie z klatki. Znowu własne podwórko, przestrzeń. I cisza.

Od wiosny do jesieni prowadzili wypas, potem zostawali w zasypanej śniegiem dolinie

„Będzie pani musiała chodzić w gumniakach, uganiać się po chaszcach za krowami, nieraz przemoknąć do suchej nitki”. – Im więcej mnie zniechęcali, tym bardziej chciałam tu zostać

zupelnie sami. Wcześniej robili zapasy żywności, paliwa i lekarstw. – Był już prąd, mogliśmy wstawić lodówkę i pralkę. Gdzieś wtedy zaczęliśmy rozmawiać o tym, że warto by wziąć ślub kościelny. „Tak, trzeba to zrobić, w końcu ile będziemy tak żyć” – wtórował jej Stach. – Tylko że nazajutrz znowu wpadaliśmy w wir pracy i sprawa ślubu odkładała się na później. Innym razem przeszkodził nam wypadek Staszka. To było zaraz po likwidacji „Igłopolu”. Mąż trafił do szpitala, przeszedł dwie operacje kręgosłupa. Obydwójce straciliśmy robotę, można się było podłamać. „Jeszcze będzie dobrze, zobaczysz” – pocieszała się nawzajem, ale dobrze się nie zapowiadało. – Zakłady upadały jeden po drugim, co mieliśmy robić w Krywym?

LEPIJ MIEĆ WSZYSTKO POUKŁADANE

„Kupimy trochę zwierząt, zaczniemy od nowa na swoim” – powiedział kiedyś Stachu. A Tosia pomyślała, że przecież mogą w domu zrobić trochę miejsca i przygotować pokoje dla turystów. Pomogli znajomi. Od jakiegoś czasu przyjeżdżali latem, poznawali góry. – Załatwili mi pracę we Francji, potem we Włoszech – wspominała. – Dzięki zarobionym pieniądządom mogliśmy zainwestować w gospodarstwo agroturystyczne. Kupiliśmy owce, kozy, z czasem powstały dwa domki dla letników. Ale sama bym sobie tu nie poradziła. Daleko do sklepu, do lekarza. Jak Stasio miał wypadek, to musiał po niego przylecieć helikopter. A kiedyś także po mnie, gdy mocno

zachorowałam. Wylądował na łące przed domem. Karetka zniszczoną, wyboistą drogą by nie dotarła.

Lata mijały, a oni nadal żyli z cywilnym papierkiem. Kiedyś zagadnęła męża, że trzeba w końcu zawrzeć sakrament. Mama Antoniny też ich do tego gorąco namawiała. „Lepiej mieć w życiu wszystko poukładane” – powtarzała. I tak zbierali się do tego ślubu kilkanaście lat. – Aż kiedyś na chrzcinach u koleżanki podeszłam z tą sprawą do księdza z Zatwarnicy. „Ślub? No jasne, byłoby fajnie. Dalibyście przykład młodym” – ucieszył się. – Tylko że my bardzo chcielibyśmy się pobrać w ruinach cerkwi w Krywym – odparła. „A nic nie stoi na przeszkodzie, to cudowne miejsce” – zapewnił duchowny. Nazajutrz zaczęli ze Stachem przygotowania. Ale wcześniej narzeczony oficjalnie się oświadczył. – No to ja jemu też się oświadczyłam i razem parsknęliśmy śmiechem.

WIANEK Z POLNYCH KWIATÓW

Wysłała zaproszenia w Polskę. Przyjaciele nie mogli uwierzyć, ale niemal wszyscy zjechali do Krywego. Przystroili cerkiewne ruiny kwiatami i białymi aniołami, zbili ołtarz i ławy z kłoców. Zbudowali też mostek na potoku, żeby panna młoda nie musiała iść przez wodę. Dokładnie w 33 lata po cywilnym ślubie miała wreszcie połączyć się z mężczyzną jak Bóg przykazał. „Nie denerwujesz się?” – pytał kilkakrotnie, choć sam się denerwował. Na znak szacunku dla dawnych mieszkańców Krywego ubrał się w soroczkę – wyszywaną ukraińską koszulę. Dziewczyny uplotły Tosi wianek z polnych kwiatów, a potem orszak ruszył przez łąki...

– Ołtarz i miejsca dla gości przykryliśmy białymi baraniami skórą – opowiadała Antonina. – Wokół stanęli goście. Wśród nich także turyści, którzy akurat przyszli zwiedzić ruiny zabytkowej cerkwi. Byli bardzo kulturalni. Zanim wyciągnęli aparaty zapytali, czy mogą uczestniczyć w ceremonii. A potem było wesele. Setka gości, muzyka, kulinarna uczta... Co chwilę musieliśmy się całować, bo ludzie krzyczeli: gorzko! gorzko!

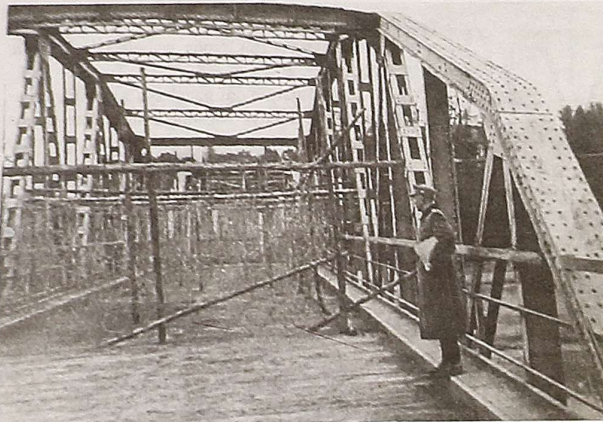
– Kiedy już założyliśmy poświęcone obrączki, poczułam, że stało się coś wyjątkowego. Jakas taka radość w sercu i lekkość na duszy. Jestem przekonana, że ten ślub jeszcze bardziej wzmocnił naszą miłość. I że byliśmy sobie przeznaczeni.

Ślub wzięli w sierpniu 2011 roku. Mieli żyć długo i szczęśliwie. Cztery lata później, we wrześniu 2015 roku, Antonina Majsterek wsiadła do swojego dżipa i jak setki razy wcześniej ruszyła starą ziemną drogą w kierunku Zatwarnicy. Jej podróż trwała tylko chwilę. Przez uchyloną szybę auta wleciała osa i użądliła Tosię. Szybko zaśliniła, straciła przytomność i runęła ze skarpy w dolinę Krywego. Czy wiedziała, że jest uczulona na jad owadów?

Na starym cmentarzu przy cerkwi Stachu zrobił symboliczny nagrobek ze zdjęciem żony i datą śmierci. Początkiem września 2022 roku minęło siedem lat. Przechodnie zatrzymują się przed krzyżem, palą znicze, czasami się pomodlą. Z oddali widzą dom, w którym mieszkała tragicznie zmarła kobieta. Dziwnie pusty, choć ciągle tli się w nim życie.



Przeprawa przez San w Krywym FOT. ARCHIWUM ANTONINY MAJSTEREK



Żołnierz niemiecki na zadrutowanym moście na Sanie w Huzelach
FOT. Z ALBUMU PAWŁA KUSALA PT. ZAPOMNIANE BIESZCZADY



Żołnierze polscy wzięci do niewoli maszerują główną ulicą Ustrzyk. W głębi kościół FOT. Z ALBUMU PAWŁA KUSALA PT. ZAPOMNIANE BIESZCZADY

Nad Sanem i Strwiążem w Kraju Rad

HISTORIA

MATEUSZ PODKUL

Dwudziesty wiek był świadkiem kilkukrotnych zmian granic w Bieszczadach. Dwa razy pod rządami Kraju Rad znalazły się między innymi Ustrzyki Dolne. Pakt, który Hitler zawarł ze Stalinem w sierpniu 1939 roku, dopięty miesiąc później na gruzach II Rzeczypospolitej, ustanowił kordon na Sanie. Prawy brzeg przypadł Sowietom, lewy – Niemcom.

Wojska niespełnionego marlarza z charakterystycznym wąsikiem doszły we wrześniu aż do Lwowa. Szybko jednak – dostosowując się do ustaleń powziętych przez dwóch dyktatorów – wycofały się na zachód, za San. Ostatnich Niemców widziano w Ustrzykach Dolnych przed południem 28 września 1939 roku.

Bolesław Baraniecki z Leska wspominał po latach: „Dawny powiat leski był podzielony – przez San przebiegała granica między strefami okupacyjnymi. My (...) znaleźliśmy się »pod Sowietami«. Gdy szliśmy po wodę do studni koło cerkwi, patrzyliśmy w dół przez San na Huzele. Było to nie do wyobrażenia, że tam jest już »zagranica« – okupacja niemiecka. Wraz z Leskiem »pod ruskimi« znalazły się obszary na wschód od Sanu – Ustrzyki Dolne, Czarna, Lutowska».

Do Ustrzyk wkroczyli żołnierze spod znaku sierpa i młota. Miejscowi Żydzi o poglądach komunistycznych zebrali się na rynku, gdzie przygotowali na tę okazję bramę powitalną. Podobny obiekt stanął w Lesku. Umieszone na nim hasło głosiło: „Haj żywe Czerwona Armia”.

TRANSPORTY W JEDNĄ STRONĘ

Jedenastoletni wówczas Witold Mołodyński tak opisywał pierwszy kontakt z czerwonoarmistą: „Moją uwagę zwróciło to, że żołnierz miał na nogach buty z parcianymi cholewkami. Zaraz sobie pomyślałem, jakie to olbrzymie oszczędności można zrobić na skórze w tak licznej armii”.

Jedną z głównych gałęzi przemysłu ustrzyckiego było pozyskiwanie i przerób ropy naftowej. Już w pierwszych dniach bytności krasnoarmiejców w mieście nad Strwiążem zameldowała się tu długa kawalkada pustych ciężarówek wojskowych ZIS. Pojazdy miały służyć jako środek transportu dla rozszabrowanego mienia, gdyby teren ten przypadł Hitlerowi. Ostatecznie ich przyjazd okazał się bezcelowy, ponieważ Ustrzyki Dolne weszły w skład Związku Radzieckiego. Samochody odjechały puste, ale cała akcja od początku pokazywała, w którą stronę będą głównie wędrować surowce pod sowieckimi rządami.

Od pierwszych dni okupacji radzieckiej nowi gospodarze czynili przygotowania do ustalania nowego ładu. Najpierw stworzono tzw. komitety tymczasowe, które miały stworzyć listy wyborcze i same wybory do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy. Termin głosowania wyznaczono na 22 października. Oficjalna kampania wyborcza ruszyła piętnaście dni wcześniej. Prym w propagowaniu ideałów komunizmu wiodli młodzi Żydzi z lewicowego Bundu, porwani hasłami Marksa i Lenina, a za trybunę wieców posłużyli im uprzednio postawiona brama powitalna dla nowych „wyzwolicieli” ze wschodu. Jednym z mówców był Szymrko Bergenbaum, Żyd z Olchowiec, który stojąc na podestu i trzymając w ręku polską flagę, krzyczał do zebranych, że „Polskę już szlag trafił”. Na dół tego flagę potamiał i podeptał.

CZERWONE FLAGI W RYNKU

W przeddzień „wyborów” odbył się drugi wiec przedwyborczy, zorganizowany przez „gorsowier” (radę miejską) i „sielsowiety” (rady wsi). Pojawiła się obawa, że nieobecność na zgromadzeniu może skutkować utratą pracy, więc frekwencja była lepsza niż podczas pierwszego „mitingu”. W północno-zachodniej części ustrzyckiego rynku, na balkonie kamienicy, wywieszono czerwone flagi, a ze środka barierki na przybyłych „patrzył” z portretu Józef Stalin. Po licznych przemówieniach po rosyjsku, ukraińsku i żydowsku głos zabrał po polsku pewien miejscowy komunista, który zwięźliwy swą mowę słowami, że na wybory należy iść, gdyż

innej rady nie ma i Polska nad Strwiąż już nie powróci.

Samo głosowanie przypominało farsę, bo właściwie nie było żadnego wyboru w sytuacji, gdy na karcie widniało tylko nazwisko jednego kandydata. Brak wskazania go oznaczał nieważny głos. Tacy „wybrańcy” weszli do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy, które obradowało we Lwowie od 26 do 28 października 1939 roku. Gremium to uchwaliło ustanowienie na zajętych terenach władzy sowieckiej i przyjęcie deklaracji kierującej prośbą do Rady Najwyższej ZSRR o włączenie tych ziem do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Ponadto zdecydowało o konfiskacie majątków, budynków i zwierząt należących do „obszarników”, Kościołów i urzędników państwowych, i przekazanie ich chłopom małym i bezrolnym.

TERAZ BĘDZIE TYLKO LEPIJ

Wszyscy stali mieszkańcy z okupowanych przez Sowietów obszarów otrzymali radzieckie obywatelstwo. Osoby o nastawieniu patriotycznym po zarekwirowaniu paszportów zmuszono do podpisywania zobowiązań mówiących, że nie będą działać na rzecz odbudowy niepodległej Polski.

Nowe porządki czekały także ustrzycką oświatę. Druga w ciągu półtora miesiąca inauguracja roku szkolnego wypadła 9 października.

W północno-zachodniej części ustrzyckiego rynku, na balkonie kamienicy, wywieszono czerwone flagi, a ze środka barierki na przybyłych „patrzył” z portretu Józef Stalin

Jak zapamiętał Witold Mołodyński, „na zakończenie przemawiał ten w rubaszcze, zwany politrakiem. Mówił on, jakie to wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej szczęście nas spotkało, że teraz będziemy mogli uczyć, pracować w tak wolnym kraju, jak żaden na świecie. Wyliczał jeszcze wiele innych dobrodziejstw, jakie przyniosła nam władza radziecka”.

Nowa rzeczywistość skutecznie wywróciła realia życia. W początkowym okresie wielu ustrzyczan nie miało jeszcze pracy i było zmuszonych sprzedawać swoją własność, aby mieć na życie. Częstym zjawiskiem była wymiana barterowa. Jak z ironią zauważył Mołodyński, „mówiło się wówczas, że spełniły się marzenia wszystkich mieszkańców; dawniej Polacy zwykle nie zajmowali się handlem, teraz, żeby przeżyć, musieli handlować; Żydzi wcześniej nie mieli łatwego dostępu do administracji, teraz zaś byli urzędnikami, a Ukraińcy dostali sowiecką Ukrainę”.

W efekcie grabieżczej działalności obu głównych okupantów przestało istnieć słynne przed wojną szybowisko w Ustjanowej. Najpierw sporo sprzętu, w tym szybowce, zarekwirowali Niemcy. Reszta wpadła w ręce krasnoarmiejców, w tym to, co sowieccy pogranicznicy odkryli w hangarach na Żukowie i Gromadzińniu. „Wrony” i „Salamandry” powędrowały w długim transporcie przeważnie kiepskimi drogami w stronę Lwowa. Wkrótce przestały istnieć hangary. W efekcie znakomity ośrodek szkolący polskich lotników przeszedł do historii.

NIEMCY I POLACY OPUSZCZAJĄ SWE DOMY

Regulacje dotknęły także potomków niemieckich osadników z czasów porzecznych, którzy zamieszkali kolonie w okolicach Ustrzyk Dolnych. W myśl ustaleń zawartych przez Hitlera i Stalina mieli oni opuścić swe wioski i przenieść się na tereny włączone do III Rzeszy, głównie do Wielkopolski. Mogli zabrać cały ruchomy dobytek za wyjątkiem dolarów i złota. Najpierw musieli wyjechać kolonisti niemieccy z Brzegów Dolnych i Bandrowa. W tej pierwszej miejscowości prym w nadzorowaniu wyjazdów osadników za San wiodł młody Żyd Lajbis Messer, syn biednego szewca. Po wkroczeniu Armii Czerwonej założył czerwoną opaskę i wszedł w komitety z nową władzą. Z czasem został kierownikiem spółdzielni produkcyjnej, którą założono na terenach opuszczonych przez kolonistów. Pozostawione budynki zaczęły pełnić inne role, a były to obiekty, które wyróżniały się jakością i porządkiem zabudowy.

Przymusowe przesiedlenia dotknęły także polską ludność, szczególnie żyjącą dotąd najbliższej prawego brzegu Sanu. Wspomniany Bolesław Baraniecki tak zapamiętał pierwsze działania Sowietów w tym rejonie: „Lesko i cała okolica znalazły się w ścisłej strefie przygranicznej, w której obowiązywały szczególne zaostrożenia. Ze wsi Wola [Poštołowa], położonej najbliższej Sanu, wywieziono całą ludność, a domy rozebrano. Podobnie wysiedlono ludność z Posady Leskiej. Im jednak pozwolono rozebrać domy i przesiedlić się na Glinne. Wzdłuż granicy ustawiono zasieki i budowano betonowe bunkry. Zaczęto też oczyszczać tereny przygraniczne z tzw. elementów niepożądanych. Wszystkim mającym ponad osiemnaście lat wydawano paszporty”.

Kolejne półtora roku przynależności terenów na wschód od Sanu do Kraju Rad odznaczyło się dalszą nieprzyjazną Polakom polityką władzy radzieckiej. W pierwszej połowie 1940 roku podczas kilku wywozów wielu przedstawicieli lokalnych elit znalazło się na Syberii. Za to spokojną przystań na pewien czas znaleźli tu Żydzi uciekający przed zbrodniczą działalnością niemiecką – w nich wymierzona. Ale tylko do czerwca 1941 roku, do niemieckiej inwazji na ZSRR.

LUDZIE I PRZYRODA

KRZYSZTOF POTACZAŁA

W Bieszczadach i okolicy żyje już sporo ponad dwieście niedźwiedzi. Coraz częściej można je spotkać na drogach i w pobliżu wsi, ale wciąż unikają ludzi. Za to ludzie nachalnie pchają się w objęcia wielkich drapieżców.

NIEDŹWIEDŹ nie jest miłym misiem

Od kiedy Kazimierz Nózka z Nadleśnictwa Baligród zaczął publikować na Facebooku filmiki i zdjęcia bieszczadzkich niedźwiedzi, odbiorcy w Polsce oszaleli. Część z nich uznała, że mogą przeżyć taką samą przygodę jak leśnik – wybrać się do lasu, wytopić zwierza i go sobie nagrać kamerką w aparacie. A potem pochwalić się znajomym niezwykle obrazami. Tyle że Kazimierz Nózka niedźwiedzi nie tropi, a nade wszystko wie o tych zwierzętach na tyle dużo, by rozumieć, w jakie rejony nie wchodzić, kiedy się zatrzymać i jak się zachować w razie zbyt bliskiego spotkania. Bo takowe, nawet mimo ostrożności, może się zdarzyć.

NIE PODPROWADZA I NIE SZUKA

Kiedyś już prawie żegnał się z życiem. – Gdy nagle wyrasta przed tobą postać rozdrażnionego olbrzyma, i gdy widzisz jego przenikliwe, zimne oczy, przechodzi przez głowę tylko jedna, szybka myśl: że to ostatnie chwile na ziemskim padole – opowiada leśniczy. – Dzięki Bogu ocalałem, niedźwiedź nawet mnie nie tknął, ale po prostu miałem wyjątkowe szczęście. Jak inaczej to wytłumaczyć?

Nózka w swojej z górą czterdziestoletniej karierze leśnika spotykał niedźwiedzie już ponad sto razy. Jego archiwum zdjęciowo-filmowe zajmuje mnóstwo miejsca w służbowym komputerze, a popularność sprawia, że nieustannie bombardowany jest telefonami i mailami od ludzi, którzy chcieliby pójść w jego ślady. – Za każdym razem muszę tłumaczyć, że nie podprowadzam, nie szukam, nie wystawiam zwierzyń pod obiektyw. A przy okazji wyjaśniam, że niedźwiedzie to bardzo niebezpieczne drapieżniki, których nie wolno nazywać misiami. Żaden z nich nie przypomina Uszatka, Colargola ani żadnego innego misia z kreskówki.

Od kiedy filmiki z niedźwiedziami podbiły Internet, w Bieszczadach zjeżdżają kolejni chętni do fotografowania brunatnych drapieżców. Niektórzy są przekonani, że zapewnią kartę pamięci fascynującymi zdjęciami, które następnie będą mogli odsprzedać redakcjom czasopism. – Nic bardziej błędnego – mówią doświadczeni fotograficy przyrody. – Żeby „złowić” w obiektyw niedźwiedzia, wilka czy rysia trzeba wiele poświęcenia i wiedzy. Bieszczady to nie ogród zoologiczny, tu nic nie jest podane na tacy.

SZCZĘŚCIE I PRZYPADK

Polskie lasy otwarte są dla wszystkich, można po nich spacerować, podglądać przyrodę, ale jak akceptować kogoś, kto wchodzi w ostoje zwierzyń, włamuje się do ambon myśliwskich i nęci zwierzę, by koniecznie wrócić do domu z kilkoma fotografiami? – Na takie zachowania nie może być akceptacji – podkreślają leśnicy. – Podobnie jak na to, że ktoś „na chana” wjeżdża autem terenowym na drogi leśne, a nawet na łąki i polany, bo nie chce mu się przejść paru kilometrów. Są tacy, którzy potrafia gonić zwierzę samochodami. Ujawniony przypadek szaleńczej jazdy za uciekającymi wilkami wstrząsnął w zeszłym roku opinią publiczną w kraju i doprowadził do ożywionej dyskusji nad przepisami o ochronie przyrody oraz wysokością kar finansowych za jej łamanie.

Nachalnych amatorów dokumentowania życia zwierząt najbardziej „kręca” niedźwiedzie. Mysłą tak: skoro udaje się robić piękne ujęcia drapieżców leśnikom i profesjonalnym fotogra-



Dorosły niedźwiedź brunatny to potężne, groźne zwierzę. FOT. MARIUSZ STRUSIEWICZ

*Nikt o zdrowych zmysłach
nie będzie się pchał w gęsty
młodnik, a zimą nie przyjdzie
mu do głowy szukać
gawry, by do niej zaglądnąć*

fikom, to dlaczego nie miałoby się udać nam? Nie biorą pod uwagę, że szereg zdjęć pochodzi z zamontowanych na drzewach fotopułapek. To głównie dzięki nim leśnicy i przyrodnicy mogą obserwować życie dzikich zwierząt. Jeżeli fotografie czy filmy są wykonane osobiście, to jest to wynik albo szczęśliwego przypadku, albo też wielodniowego przesiadywania w lesie – bez ingerencji w naturę. Na to mogą sobie jednak pozwolić tylko najbardziej cierpliwi, dobrze znający prawa przyrody i mający do niej szacunek. Tacy, którzy rozumieją, że żaden leśnik nie podprowadzi ich w miejsce, w którym bytują niedźwiedzie. A także wilki, rysie, żbiki, borsuki i inne zwierzęta.

UDERZENIE WIELKĄ ŁAPĄ

Bogusław Kowalczyk fotografuje leśną zwierzyń od dawna. Mieszka w najdalszym zakątku Bieszczadów, las ma prawie na wyciągnięcie ręki, nic więc dziwnego, że jest w nim częstym gościem. Spośród wszystkich rodzimych gatunków najmocniej ukochał właśnie niedźwiedzie, ale to przez niedźwiedzia o mało nie stracił życia. Nie odradza fotografowania drapieżników, przestrzega jednak przed nadmiernym optymizmem i pewnością siebie. Zaznacza też, by każdorazowo wybierać się do lasu z przekonaniem, że wchodzimy do czyjegoś domu i nie zawsze jesteśmy tam mile widziani.

– Zrozumiałem to dopiero wtedy, gdy zostałem zaatakowany przez rozjuszonego niedźwiedzia – opowiada. – To, że udało mi się przeżyć, jest cudem.

Kowalczyk naszedł na dużego samca przypadkiem. Ten rzucił się na niego natychmiast. Zanim mężczyzna odwrócił się i próbował wejść na drzewo, został powalony na ziemię. – Wtedy się zaczęło. Thuk! mnie, gryzł, szarpał i rzucał jak szmacianą lalką. W sekundach przez głowę przeleciało mi całe życie. Półprzytomny zęgnąłem się ze światem, ale w jakimś ostatnim odruchu świadomości cały czas chroniłem twarz rękami. Gdyby nie to, rozdarłby mi ją do kości.

Po chwili napastnik odszedł, ale gdy tylko fotograf zdołał się podnieść – zaatakował ponownie. – Znowu mną rzucił, spadłem na brzuch i zasłoniłem rękami głowę. Kilka razy mnie uderzył i ugryzł, a potem nieoczekiwanie zostawił.

NIEPISANA INSTRUKCJA

Kowalczyk był parę kilometrów od domu, w głębi lasu, w którym nie działa telefon komórkowy. Zanim udało mu się dotrzeć do najbliższego gospodarstwa, minęły godziny. Trafił do szpitala z odgryzionym niemal zupełnie palcem u ręki, poważnymi ranami głowy, złamaną nogą i obojczykiem, wieloma innymi obrażeniami. Do zdrowia fizycznego wrócił po półtorarocznym leczeniu, ale rany psychiczne goiły się znacznie dłużej. Czy do końca się zblizniły?

– Zanim pierwszy raz po wypadku poszedłem do lasu, minęło wiele miesięcy – wspomina – lecz do dzisiaj nie wyzbyłem się lęku. Wciąż fotografuję zwierzęta, także niedźwiedzie, ale robię to głównie z czatowni, w której jestem niewidzialny i bezpieczny. Nie mogę jednak przyjąć za pewnik, że nigdy więcej moja droga nie skrzyżuje się z niedźwiedzią. To ryzyko zawodowe.

W bieszczadzkich lasach jest coraz więcej szlaków turystycznych, a przy nich informacje o możliwościach napotkania niedźwiedzi. Już nie tylko w wysokich partiach gór, ale też niżej, również w pobliżu dużych skupisk ludzkich. Wzrost populacji gatunku *Ursus arctos* spowodował, że w niektórych miejscach zagęszczenie niedźwiedzi jest zbyt duże – na przykład w Nadleśnictwach Stuposiany i Baligród. Ich obecność może powodować konflikty z ludźmi, ale nie

jest też tak, że brunatne drapieżniki siedzą przy każdym szlaku. Przeciwnie – unikają dwunożnych istot, a na ich głos usuwają się w głąb lasu.

– Istnieje nawet niepisana instrukcja, by podczas spacerów po lesie normalnie ze sobą rozmawiać, pogwizdywać czy podśpiewywać – tłumaczą przyrodnicy. – Te same zasady obowiązują grzybiarzy i zbieraczy jagód. Zawsze uczulano, by zachowywać się w lesie cicho, jednakże w obecnej sytuacji trzeba o tym zapamiętać. Najważniejsze jest bezpieczeństwo.

O JEDEN PRZYPADK ZA DUŻO

Kazimierz Nózka podkreśla, że tak jak w życiu, również w obrębie lasu, na szlaku turystycznym potrzebny jest rozsądek. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie się pchał w gęsty młodnik, który bywa miejscem odpoczynku niedźwiedzi, a zimą nie przyjdzie mu do głowy szukać gawry, by do niej zaglądnąć. A jednak są śmiałkowci (szaleńcy, wariaci, ryzykanci), których nic nie zatrzyma w poszukiwaniu wrażeń. – Najgorszy to ci, którzy nie mają żadnej wiedzy o zachowaniach i zwyczajach dzikich zwierząt, zwłaszcza drapieżników, ale koniecznie chcą się do nich zbliżyć, nagrać i zaistnieć w mediach – denerwuje się leśniczy z Polanek.

Przed niedźwiedziami uciekali już nie tylko turyści, drwale, zbieracze poroży jeleni czy grzybiarze. Uciekali także leśnicy oraz naukowcy zajmujący się badaniem wielkich drapieżców. Większości się udało, ponieważ wiedzieli, jak się zachować – nie krzyczeli, nie wymachiwali rękami, tylko odchodzili poza obręb wzroku niedźwiedzia. Czasami jednak to nie wystarczyło, bo zwierzę był zbyt pobudzony. Niektórzy skończyli przez to w szpitalu, a pewien emeryt, przypłacił spotkanie z brunatnym olbrzymem śmiercią.

Jeden przypadek na kilkadziesiąt lat to niewiele, choć przecież o jeden za dużo. Warto o tym pamiętać w czasie wypadków do bieszczadzskich lasów. Także teraz, jesienią, gdy niedźwiedzie żerują w dzikich sadach, by najęść się przed zimą, a grzybiarze penetrują las w poszukiwaniu prawdziwków i koźlaków.

Bilety już dostępne na udk.systembiletowy.pl

PIERWSZY FILM O SOWIECKIEJ AGRESJI NA POLSKĘ

ORLEŃA. GRODNO '39

TWIERDZA BYŁ IM KAŻDY PRÓG

ORLEŃA. GRODNO '39

14, 15, 16 PAŹDZIERNIKA
GODZ. 19:00 | BILET: 18 ZŁ

Wojenny | Prod. Pol | wiek +12 | Czas: 1 godz. 45 min

Gigantyczny prawdziwek z Pucharów

W uroczysku Puchary w Nadleśnictwie Ustrzyki Dolne pewien grzybiarz natrafił na taki oto okaz. Borowik ważył 2 kg 95 dag, a jego kapelusz miał średnicę 40 cm.

W bieszczadzkich lasach zaczął się wysyp grzybów. Kto żył zmierz w gęstwinę w poszukiwaniu borowików, bo to głównie one są obecnie zbierane przez miłośników runa leśnego. Media społecznościowe pełne są fotografii ukazujących, kto ile zebrał, choć niekoniecznie – w jakiej okolicy. Grzybiarze pilnie strzegą tajemnic – znają miejsca, w których grzybów pod dostatkiem, ale nie chcą, by owe okolice nawiedzały tłumy ludzi z wiklinowymi koszami.

W niedzielę 25 września pewien mężczyzna znalazł w rejonie Stańkowej ponad 300 prawdziwków (niemal wszystkie zdrowe), inny dwa dni wcześniej w okolicy Bandrowa także przeżył grzybowe żniwa i przywiózł do domu kilka wypełnionych po brzegi koszy borowików, spośród których gdzieś wystawały czerwone kozaki, też chwalone przez walory smakowe.

Przyrodnicy zachęcają do odwiedzin mieszanych lasów, a jednocześnie apelują, by grzyby zbierać mądrze (tylko takie, co do których jesteście pewni, że są jadalne) i dbać o grzybnię – czyli nie wrywać, nie wycinać bezmyślnie znalezionych okazów, a wykrcać je i nie rozkopywać ściółki.

Sezon grzybowy potrwa przez cały październik. Niebawem miłośnicy runa wyruszą na rydze.



Szczęśliwy zbieracz nie pozował do zdjęcia z grzybem. Zrobił to w zamian Zdzisław Strusiewicz, emerytowany leśniczy z Leszczowatego. FOT. ARCHIWUM NADLEŚNICTWA USTRZYKI DOLNE/FACEBOOK

Bilety już dostępne na udk.systembiletowy.pl

OD FAFIKA DO WOJOWNIKA

TOMRZ WŁOSK ANDRZEJ GRABOWSKI

JAK ZOSTAŁEM SAMURAJEM

JAK ZOSTAŁEM SAMURAJEM

7, 8, 9 PAŹDZIERNIKA
GODZ. 17:00 | BILET: 18 ZŁ

Animacja | Prod. USA | wiek +6 | Czas: 1 godz. 37 min

OGŁOSZENIE

Informuję, iż w oparciu o art. 30 ust. 2 pkt 3 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (jednolity tekst Dz. U. z 2022 r. poz. 559 z późn. zm.), art. 13 ust. 1 w zw. z art. 25 ust. 1 i ust. 2, oraz art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (jednolity tekst Dz. U. z 2021 r. poz. 1899 z późn. zm.), – w siedzibie Urzędu Miejskiego w Ustrzykach Dolnych przy ulicy Kopernika 1 na tablicy ogłoszeń i na stronie internetowej www.ustrzyki-dolne.pl w zakładce BIP w dniach od 29 września 2022 r. do 21 października 2022 r. zostanie podany do publicznej wiadomości poprzez wywieszenie na tablicy ogłoszeń wykaz nieruchomości stanowiącej własność Gminy Ustrzyki Dolne, przeznaczonej do dzierżawy zgodnie z obowiązującymi przepisami w tym zakresie tj.:

W formie bezprzetargowej:

- część działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1682/4 o powierzchni 0,6000 ha, (ogólna powierzchnia działki 0,9488 ha), położonej w Ustrzykach Dolnych, celem prowadzenia działalności gospodarczej, na czas określony do 1 roku.

Z up. burmistrza

Alija Kisielewicz, kierownik Wydziału
Gospodarki Nieruchomościami

WĘDRÓWKA

Teatrem Nemno

03.10.2022 Cyrk Hrynek Osiek Jasielski	03.10.2022 Cyrk Hrynek Nowy Zmiłród	04.10.2022 Cyrk Hrynek Jasio	05.10.2022 Czerwony kapłanek Bzostek	06.10.2022 Czerwony kapłanek Jedlicze
07.10.2022 Misiowe przygody Cisno	09.10.2022 Smok wawelski Dydnów	10.10.2022 Cyrk Hrynek Sanok	11.10.2022 Trzy świnki Lutowiska	12.10.2022 Czerwony kapłanek Balligród
13.10.2022 Trzy świnki Komańcza	19.10.2022 Misiowe przygody Niwiska	20.10.2022 Czerwony kapłanek Trzysówka	31.10.2022 Misiowe przygody Narol	

GAZETA BIESZCZADZKA

Adres redakcji:
ul. 29 Listopada 31, 38-700 Ustrzyki Dolne
Tel. 13 461 13 22
www.bieszczadzka24.pl
e-mail: redakcja@bieszczadzka24.pl

Redaktor naczelny:
Krzysztof Potaczała
e-mail: k.potaczala@bieszczadzka24.pl

ADAM LEŃ – desktop publishing

Wydawca:
Ustrzycki Dom Kultury,
38-700 Ustrzyki Dolne,
ul. 29 Listopada 31, Tel. 13 461 13 22

Druk: Polska Press Sp. z o.o., oddział Poligrafia, drukarnia w Sosnowcu

Redakcja zastrzega sobie prawo redagowania tekstów dziennikarskich, ich skracania, opatrywania własnymi tytułami i śródtytułami, ilustrowania. Za treść ogłoszeń, reklam i listów redakcja nie odpowiada.

Reklama
w Gazecie Bieszczadzkiej
tel. 13 461 13 22

USTRZYKI DOLNE, UL. 29 LISTOPADA 26
TEL. 13 461 29 39; 13 461 24 54

FHU ADAM AGD RTV

CZAS NA KOSZENIE

**FREZOWANIE
ROZWIERCANIE
KOMINÓW**

Wkłady
żaro - kwaso
odporne
sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl

**AUTOMATYCZNE
UKŁADY
NAWĘGLANIA**

PODAJNIKI NA:
ENOGROSZEK, MIAŁ, PELLET, OWIES.
OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



FOT. EWA BUJALSKA

Na jesieni owocuje wiele drzew i krzewów, takich jak np. tarnina, dzika róża, trzmielina czy głóg. Czy umiecie Państwo rozpoznać owoce tych gatunków? Śliwa tarnina (*Prunus spinosa* L.) wytwarza niebieskie, kuliste owoce, które nie opadają jak inne śliwki. Tkwiąc przez kilka miesięcy na krzewach stanowią zimową spiżarnię dla ptaków. Natomiast trzmielina zwyczajna (*Evonymus europaeus* L.) przyciąga wzrok, oryginalne czerwono-pomarańczowe owoce. Soczyste czerwone owoce głogu jednoszyjkowego (*Crataegus monogyna* Jacq.) także są źródłem pokarmu dla ptaków i zwierząt leśnych. Dzika róża (*Rosa canina* L.) jest kłującym krzewem dorastającym do 1-3 m wysokości. Trudno

przejsz obok nie zauważając jej jesienią i zimą – bez problemu dostrzeżemy intensywnie czerwone owoce. Jest nie tylko piękną ozdobą naszego krajobrazu, ale również źródłem witamin dla ludzi i dzikich zwierząt.

Jak nazywają się opisane przez nas gatunki drzew i krzewów (1, 2, 3, 4)?

Odpowiedzi prosimy przysłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 6 października 2022 r.

Rozwiązanie zagadki z numeru 19 GB: Szczecińskie pospolite (*Dipsacus fullonum*). Nagrodę wylosowała pani Grażyna Stecyk. Gratulujemy!

KALENDARIUM

4 października 1936

Pod Bezmiechową śmierć ponieśli dwaj piloci szybowców.

W czasie lotów ćwiczebnych na szybowisku w Bezmiechowej Górnej zderzyli się w powietrzu dwa szybowce typu Salamandra na wysokości około 400 m. Wskutek zderzenia ponieśli śmierć w miejscu dwaj piloci szybowcowi: 48-letni Kazimierz Sukiennik z Torunia i 21-letni Eugeniusz Morawski, absolwent gimnazjalny z Doliny (woj. stanisławowskie).

4 października 1959

W Warszawie zmarł Mieczysław Orłowicz, doktor prawa,

autor licznych przewodników turystycznych. Był autorem m.in. „Ilustrowanego przewodnika po Łwowie”, „Ilustrowanego przewodnika po Wschodnich Karpatach Galicji, Bukowiny i Węgier”, „Ilustrowanego przewodnika po Galicji: Bukowinie, Spizu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim”, „Ziemi Sanockiej”, „Ilustrowanego przewodnika po Przemyslu i okolicy” i „Przewodnika po Bieszczadach”. Propagował turystykę w Bieszczadach Wschodnich i na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej. Zaprojektował przebieg wschodniej części Głównego Szlaku Beskidzkiego, był też jednym z pomysłodawców ustanowienia Górskiej Odnaki Turystycznej. Imieniem Mieczysława Orłowicza nazwano przełęcz w Bieszczadach Zachodnich i Główny Szlak Sudecki, prowadzący ze Świeradowa-Zdroju do Prudnika.

12 października 1961

Premiera filmu fabularnego „Ogniomistrz Kaleń” w reżyserii Ewy

i Czesława Petelskich. Film został zrealizowany na podstawie powieści „Luny w Bieszczadach” Jana Gerharda, dowódcy 34. Budziszynskiego Pułku Piechoty. Akcja rozgrywa się w okresie walk żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego i aparatu bezpieczeństwa ze zbrojnymi oddziałami ukraińskimi oraz z polskim podziemiem antykomunistycznym. Na miejsce akcji wybrano tereny Baligródu i okolic. Pamiętne role odegrali m.in.: Wiesław Gołas (ogniomistrz Hipolit Kaleń), Janusz Kłosiński (mjr Antoni Żubryd) i Leon Niemczyk (sotenny „Bir”).

12 października 1962

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustrzykach Dolnych podjęło uchwałę w sprawie budowy w czynnie społecznym kąpieliska (obecna ul. PKiK). Zostało oddane do użytku w 1964 r. i było największym w ówczesnym województwie rzeszowskim. Obok pobudowano pole namiotowe, boiska do siatkówki, wiatę ogniskową. Z czasem powstał kiosk spożywczy i lodziarnia.

4 października 1967

Za pomocą ładunków wybuchowych wysadzono kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Wołkowyi z 1842 r. Jak wspomina naczelnik

świadek Józef Domański, podczas akcji zostały użyte siły Wojska Polskiego, Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Po wysadzeniu resztki murów świątyni i jej wyposażenia zostały zwrócone przez spychacz i zepchnięte do wykopanego rowu. Wobec proboszcza ks. Franciszka Kuszyby i wikariusza ks. Eugeniusza Borawiaka zastosowano areszt w mieszkaniu. „Wielu spośród uczestników likwidacji kościoła poiono wcześniej wódką. Na odwagę. Ale, pamiętając tętejsi, część zwiezionych do tejsze akcji robotników i operatorów dźwigów odmówiło udziału w burzeniu świątyni, mimo że oferowano im zapłatę znacznie wyższą niż pobierali miesięcznie w swoich zakładach. Kilka dni później wiadomość o barbarzyńskiej operacji przedostała się na Zachód, a Radio Wolna Europa napiętnowała komunistyczne władze. Skutek był taki, że jeszcze bardziej wzmożyły one represje wobec obrońców kościoła, włącznie ze zwolnieniami z pracy” – pisze Krzysztof Potaczała w książce „Bieszczady w PRL-u” (cz. 1). Warto przy okazji wspomnieć, że rozebrano także cerkiew z 1833 r. Jak się potem okazało, zalew do niej nie sięgnął. Zachowała się podmurówka i parawanowa dzwonnica oraz kilka grekokatolickich nagrobków z XIX w.

6 października 1972

Ukazało się Rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie utworzenia powiatu bieszczadzkiego i powiatu miejskiego Sanok oraz zmiany granic niektórych powiatów w województwie rzeszowskim. Na mocy ustawy powstał powiat bieszczadzki z siedzibą w Lesku w miejsce dwóch istniejących dotąd powiatów: leskiego i ustrzyckiego. Tym samym zniesiono powiat sanocki (z miasta Sanoka utworzono powiat miejski Sanok), a jego gromady: Bukowsko, Jurówce, Komańcza, Markowce, Mrzygłód, Niebieszczyzna, Nowotaniec, Olchowce, Szczawne i Tyrawa Wołoska włączono do powiatu bieszczadzkiego.

12-13 października 1978

W Ustrzykach Dolnych odbyła się konferencja „Mistrz wychowania w socjalistycznym zakładzie pracy”. Została zorganizowana przez Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa w Rzeszowie. W trakcie konferencji Bronisław Majgier, pełnomocnik wojewody ds. Bieszczadów, zaprezentował charakterystykę gospodarczą województwa króśniewskiego oraz informację o Towarzystwie Rozwoju Bieszczadów i Harcerskiej Operacji „Bieszczady 40”.

11 października 2018

Abp Adam Szal, metropolita przemyski, poświęcił odnowiony ołtarz w kościele pw. Świętego Stanisława Biskupa w Uhercach Mineralnych. Prace remontowo-konserwatorskie ołtarza głównego trwały od 2013 r. i prowadzone były przez Joannę Jasiewicz-Witczak z Łańcuta, zajmującą się konserwacją zabytków.

WD

SPOD ŁOPIENNIKA

MATEUSZ ŚWIERCZYŃSKI



Sukces na miarę czasów

O powrocie autobusów na bieszczadzkie drogi było głośno. Wypowiadali się wóldarze gmin, przewoźnicy obiecywali wygodę i punktualność, a gawędziarze cieszyli się, że już niedługo pomkną do powiatu czy województwa transportem publicznym. Rzeczywistość nie jest jednak taka różowa.

Zaczynijmy od najmłodszych. Kończąc podstawówkę, dzieciaki z Cisnej czy Wólmy zmuszone są do emigracji za nauką do szkół średnich. Także najbliżej są w Lesku, jednak duża część wybiera Sanok, Krasno czy Rzeszów. O dojeździe rano w poniedziałek do któregoś z tych miast trzeba zapomnieć. Rozkład jazdy nie przewidywał, że nauka rozpoczyna się około 7. Trzeba jechać w niedzielę. O ile dojazd z Cisnej do Sanoka nie przysparza większych problemów, a i godzina odjazdu jest przyzwoita, to już dostać się np. do miasta wojewódzkiego jest trudniej. Autobusy z Sanoka co prawda są, jednak ten jadący z Cisnej się spóźni, to dupa zbija. A spóźnienia są nagminne. Najbezpieczniej zmówić się w kilka osób i po prostu wozzić dzieci samochodem. Szybkiej i pewnej.

Kolejne doświadczenie w podróżowaniu środkiem komunikacji zbiorowej zdobyła moja małżonka, która w dobie wysokich cen paliwa oraz kłopotów z naszym samochodem postanowiła tak właśnie dostawać się do pracy. Jak wyszło? Nie dość, że rozkład jazdy przez ostatnie trzy tygodnie zmienił się kilka razy, to jeszcze przez parę dni po prostu go nie było. Czy i o której autobus przyjeżdża, stanowiło jedną wielką tajemnicę. Taka poranna lamigłowska. Kolejną zagadką było ustawienie zegarka u kierowcy, gdyż nigdy nie wiadomo, o ile później w danym dniu

autobus podjedzie na przystanek. Bo to, że się spóźni, to akurat jedyna w tej historii pewna sprawa.

Alle najbardziej fascynujący temat to cena biletu. Tu już normalnie pełna dowolność. Kwoty różniły się w zależności od kierującego oraz od wyboru opcji. Tak, drodzy Państwo, w nowoczesnej komunikacji są takie możliwości. Otóż opcje są dwie – z biletami lub bez. Ta druga jest zawsze tańsza i w pełni uzależniona od przyjmującego opłatę. Opcja z biletami ma jeszcze tę wadę, że jest obarczona niezadowolaniem kierowcy i różnymi problemami technicznymi. A to nie ma wydać reszty, a to się papier w kasie skończył, a to jeszcze coś innego. Grunt, żeby pasażer poczuł, że wybierając tę formę zapłaty, popełnił błąd i następnym razem, konspiracyjnie ścisząc głos, poprosił o przejazd bez biletu.

Bieszczadzkie gminy otrzymały duże dofinansowanie na przywrócenie komunikacji zbiorowej. Pieniądże te przekazywane są firmom transportowym, aby nierentowne linie były dalej utrzymywane. Myślę, że to właśnie powoduje takie podejście do pasażerów. Czy autobus przyjeżdża, czy nie, czy pieniądze za bilet trafiają do kasy, czy do kieszeni kierowcy, to i tak przez okres trwania umowy urząd dopłaci firmie taką samą kwotę. A jak już skończy się dofinansowanie, linie się zwinnie, bo bilety sprzedaje się mało i nikt nie będzie dokładał do interesu.

Gdyby rozsądnie dopasować rozkłady jazdy, urealnicił czas przejazdów (aby nie trzeba było czekać i marznąć na przystanku) oraz uszczelnili system sprzedaży biletów – pasażerów by przybyło. To doprowadziłoby do opłacalności utrzymania linii bez konieczności dopłat. I wtedy wszyscy byłoby zadowoleni. Ale to tylko takie moje mrzonki...

POŁ ZARTEM, POŁ SERIO



RYS. KRZYSZTOF KOWALEWICZ